

Pantera południa

Karol May



calibre 0.9.27

PANTERA POŁUDNIA

Karol May

W MROKACH PIRAMIDY

Następnego ranka dotarli do upragnionego stawu, przy którym urządzono postój. Konie rozsiadłano. Zwierzęta chciwie piły wodę i pasły się na otaczających staw łąkach. Członkowie wyprawy posilali się również. Po pewnym czasie, gdy konie wypoczęły, ruszono w dalszą drogę. Stopniowo krajobraz zaczął się zmieniać, tu i ówdzie pojawił się skrawek pastwiska lub kępa drzew. Nad wieczorem natrafili nawet na spory las. Następnego ranka dotarli na skraj pustyni. Wjechali w wąską przełęcz, która wkrótce przeszła w dolinkę. Tu się zatrzymali na dłuższy odpoczynek, zamierzali bowiem jechać aż do nocy.

Obok dolinki, w ustronnej szczelinie skalnej, Verdoja zostawił trzech ludzi, aby czatowali na Sternaua; liczył, że zatrzyma się on tu dłużej w poszukiwaniu śladów obozowiska. Nie spodziewano się go wcześniej aniżeli wieczorem dnia następnego, do tego zaś czasu miał Verdoja przysłać resztę swych ludzi.

Znowu ruszyli. Dolina przerodziła się wkrótce w szeroką równinę pokrytą żyznymi pastwiskami. Droga, którą obrali, była bezpieczna, bo prawie nie uczęszczana. Minał dzień. Nie natknęli się na żadną hacjendę, choć można było przypuszczać, że w pobliżu znajduje się jakiś folwark. Gdy zapadł mrok, zatrzymali się przed wysoką, potężną bryłą w kształcie piramidy, której podstawę otaczały odłamy skał i krzewy. Verdoja zagwizdał. Coś poruszyło się w krzakach. Wszedł z nich jakiś człowiek.

— Czy posłaniec mój był u ciebie? — zapytał Verdoja.

— Tak, panie — odparł zapytany. — Przyniósł mi pański list. Wszystko przygotowane. Mam i światło.

— Więc prowadź mnie. Reszta niech czeka, aż wrócę.

Podszedł do Emmy, skrępował jej ręce na plecach i przeciął sznury, którymi była przywiązana do konia. Nie stawiała żadnego oporu. Założywszy jej przepaskę na oczy, Verdoja wziął dziewczynę na ręce. Po odgłosie jego kroków zorientowała się, że są w jakimś głuchym pomieszczeniu. Czuli, że niesie ją to w górę, to w dół; powietrze stawało się coraz cięższe. Wreszcie usłyszała trzask zamykanych drzwi i Verdoja postawił ją na ziemi. Gdy odsłonił jej oczy, w świetle latarki trzymanej przez niego w ręku ujrzała coś w rodzaju skalistej celi, szerokiej na metr i trzy ćwierci, na dwa i pół metra długiej i dwa wysokiej. Nie było w niej nic prócz wiązki słomy, dzbanka, kawałka suchego placka i dwóch łańcuchów przymocowanych do ścian.

— No, jesteśmy na miejscu — rzekł triumfująco eks-rotmistrz. — Nigdy stąd nie uciekniesz. Dlatego uwolnię cię z więzów.

Zwycięskim spojrzeniem obrzucił od stóp do głów postać Emmy.

— Ależ, senior, cóż takiego uczyniłam, że mnie porwałeś i tutaj umieściłeś? — zapytała pełna lęku i trwogi.

— Ukradłaś moje serce. Będiesz mi za to posłuszna. Wyciągnął rękę, by ją objąć.

— Nigdy, łotrze! — zawołała, odsuwając się z odrazą.

— No, no, zaraz cię przekonam, że się mylisz. Znowu przysunął się do niej. Wtedy chwyciła go za pas i wyciągnęła jego sztylet.

— Precz! Będę się bronić!

Cofnął się o parę kroków. Po chwili chwycił go szyderczy śmiech.

— Sztylet w tej ręce jest mniej groźny od szpilki. No, oddaj go natychmiast!

Chciał jej go odebrać, a ponieważ miał tylko jedną sprawną rękę, postawił na ziemi latarkę. Emma wykorzystując to zamierzyła się na niego, mówiąc:

— Jestem słabą dziewczyną, ale pan ma tylko jedną rękę. Nie waż się mnie dotykać.

Verdoja się zawahał. Wtedy zza drzwi odezwał się służący.

— Czy mam pomóc, senior?

— Tak. Odbierz jej sztylet!

Emma czuła, że nie zdoła się obronić, ale rozpacz dodawała jej sił. Przykładając sztylet do swej piersi, zawołała:

— Jeśli odważysz się mnie dotknąć, zabiję się!

Miała przy tych słowach tak zdecydowany wyraz twarzy, że Verdoja uwierzył. Nie chciał jej śmierci. Dlatego wstrzymał służącego, który już zamierzał wykonać polecenie pana.

— Zostaw ją w spokoju. Głód jest najlepszym środkiem, złamie jej upór. Dopóki nie będzie posłuszna, nie dostanie nic do jedzenia. No, teraz chodźmy!

Podniósł z ziemi latarkę i obaj opuścili więzienie. Drzwi zaryglowali potężnymi zasuwami, by uniemożliwić ucieczkę.

Tak więc Emma pozostała sama w wąskiej, ciemnej celi. Za posłanie miała jej służyć brudna słoma. Świeże powietrze niemal wcale nie docierało tutaj. Była skazana na głód, kawałek bowiem placka ryżowego, leżącego obok dzbana z cuchnącą wodą, nie mógł jej wystarczyć na długo.

Podczas podróży udało się jej zamienić kilka słów z Karią. Indianka radziła, by się w jakiś sposób postarała o broń. Teraz przekonała się, jak słuszna była to rada. Jeszcze kurczowo trzymała sztylet w ręce, zdecydowana nie oddać go nigdy. Długa, męcząca jazda i ostatnie zajście z eks-rotmistrzem tak ją wyczerpały, że z płaczem padła na słomę. Zdana na łaskę i niełaskę bezdusznego lotra, jedyną nadzieję pokładała wre Władcy Skał.

Verdoja wrócił w towarzystwie służącego do najemników, oczekujących u wejścia do piramidy. Była to stara budowla meksykańska, wzniesiona na skalistym fundamencie i zbudowana z cegieł. W skale, jeszcze przed przystąpieniem do budowy piramidy, wydrążono szereg cel połączonych ze sobą za pomocą korytarzy. Piramida miała również krużganki, w których możnowładcy i książęta upadłego państwa przechowywali swe tajemnice i urządzali uczty. Cegły pokruszyły się z biegiem lat i pomiędzy nimi zaczęły rosnąć rośliny. To jeszcze bardziej dewastowało budowlę. Górną jej część uszkodziły wichry, wyglądała więc teraz jak wzgórze od podstawy aż do szczytu porośnięte krzewami. Burze i deszcze nie zdołały jednak zniszczyć wnętrza. Cele i krużganki zachowały się w dobrym stanie, były równie mocne jak przed setkami lat. Budowla ta leżała pośrodku posiadłości należących do przodków eks-rotmistrza. Jeden z nich przez długi czas szukał wejścia do piramidy, aż w końcu znalazł je wśród kupy kamieni i cegieł. Nie rozgłaszał tego wśród ludności; sekret pozostał w rodzie, przechodząc z ojca na syna. Z biegiem lat we wnętrzu piramidy zaczęły dziać się rzeczy, które ukrywano przed światłem dziennym i przed prawem. Służący, który prowadził Verdoja i Emmę, był strażnikiem starej budowli i zaufanym jej obecnego właściciela. Obydwaj strzegli tajemnicy jak najstaranniej i wiedzieli, że mogą liczyć na siebie.

Gdy Verdoja wyszedł z piramidy, odwiązano z konia Indiankę Karię. Zasłonięta jej oczy. To samo uczyniono z porucznikiem Parderem mimo jego protestów. Verdoja oświadczył mu, że nikomu nie może pokazać wejścia do piramidy. Dodał jednak, że wewnątrz piramidy Pardero będzie mógł zdjąć opaskę i poruszać się swobodnie.

Strażnik prowadził Karię, a Verdoja porucznika. Doszli do celi, w której znajdowała się Emma. Obok wydrążona była druga, prawie taka sama, otworzyli ją, aby umieścić w niej Indiankę.

— Pójdę po resztę jeńców — rzekł Verdoja do Pardera. — Zostawiam cię z nią. Gdy skończycie, wyjdź na korytarz i zawołaj.

Po tych słowach oddalił się wraz ze strażnikiem. Pardero zdjął przepaskę z oczu Karii i uwolnił z

więzów jej ręce, odzyskała więc swobodę ruchów. Miał przy sobie latarkę, przy jej świetle pożerał namiętnym wzrokiem piękną Indiankę.

— Teraz nikt mi cię nie zabierze — wycedził po chwili. Oczy jej zabłyśły dumą i gniewem.

Córka sławnego

wodza, siostra nie mniej sławnego Bawolego Czoła, nie czuła strachu przed wrogiem, kaleką bez ręki.

— Tchórz! — rzekła z największą pogardą.

— Co takiego? Nazywasz mnie tchórzem? — uśmiechnął się ironicznie. — Czyśmy was nie zwyciężyli? Czy nie pojмалиśmy i nie przyprowadzili aż tutaj?

— Schwytaliście nas podstępem podczas snu. Prawdziwy mężczyzna nie walczy z kobietami. Czy Sternau wam nie umknął? Nie potrafiliście go zatrzymać. Jesteście jak wilki prerii, które rzucają się na ofiary nocą, korzystając z przeważającej siły, i które wyć zaczynają ze strachu, kiedy usłyszą choćby jeden strzał. Jestem dziewczyną, mimo to boję się ciebie mniej niż brzęczącego nad uchem chrząszcza, którego mogę zgnieść dwoma palcami.

— Milcz! Jesteś w mojej mocy i od ciebie tylko zależy, czy cię zniszczę, czy też poprawię twoje położenie.

— Ty mógłbyś mnie zniszczyć?! Nie jesteś tym, który by mógł pokonać siostrę Bawolego Czoła. Będiesz zgubiony, gdy tylko mnie dotkniesz.

Stała przed nim groźnie z podniesionym ramieniem. Podeszedł bliżej, chcąc ją objąć. Karia myślała tylko o tym, aby zdobyć jakąkolwiek broń, nie cofnęła się więc ani o krok. Przeciwnie, postąpiła naprzód, błyskawicznym ruchem chwyciła oburącz za jego pas i zanim się zdołał zorientować/wyrwała mu sztylet i rewolwer. Niemal równocześnie zadała Parderowi uderzenie tak mocne, że zamroczony potoczył się ku drzwiom. Skierowała teraz ku niemu lufę rewolweru, trzymając w lewej ręce błyszczący sztylet.

— Bestio! Czekaj, już ja cię poskromię! — wrzasnął zamierzając rzucić się na nią.

— Ani kroku dalej! — krzyknęła.

— Dziewczyny nie strzelają tak prędko! — zawołał. Nim jednak doskoczył do niej, padł strzał! Pardero chwycił się za brodę, głośno zawodząc. Kula Karii przestrzeliła mu szczękę.

— Diablico przeklęta, zapłacisz mi za to! — wykrztusił zachłystując się krwią. Prawą ręką zasłonił ranę, a lewą zamierzył się na Indiankę.

Błysnął sztylet. Ze straszliwą szybkością kilkakrotnie zanurzyła go aż po rękojeść w piersi napastnika.

— O Dios! — wycharczał Pardero, chwiejąc się na nogach.

— Idź do piekła! — Indianka po raz ostatni dźgnęła go sztyletem trafiając w serce. Pardero padł na kolana, a potem runął na legowisko ze słomy. Uklękła przy nim, zabrała mu drugi rewolwer, torbę z amunicją, zegarek i torbę z prowiantem, przewieszoną przez ramię.

W tym momencie rozległo się głośne pukanie w ścianę.

— Kto tam? — zapytała.

— To ja, Emma, jestem tu obok.

Karia wydała okrzyk radości i chwyciwszy latarkę, po chwili znalazła się pod drzwiami przyległej celi. Musiała natężyć wszystkie siły, aby odsunąć stare, zardzewiałe rygle. Gdy wreszcie dała sobie z nimi radę, Emma padzewia jej w objęcia.

— Masz broń i światło? Jesteś wolna?

— Jestem uzbrojona, ale jeszcze nie jestem wolna — odpowiedziała Indianka. — Pukałaś przed chwilą. Czy wiedziałaś, że jestem w pobliżu?

— Słyszałam dwa głosy, męski i kobiecy, pomyślałam więc, że kobiecy należy do ciebie. Później padł strzał. Kto to strzelał?

— Ja. Najpierw przestrzeliłam porucznikowi szczękę, potem przebiłam go sztyletem.

— Mój Boże, to okropne!

— Okropne? O nie! Była to konieczna obrona. Teraz nie pozwolimy się już zamknąć! Czy masz broń przy sobie?

— Mam ten sztylet. Wyrwałam go rotmistrzowi.

— Widzę, że i ty potrafisz zdobyć się na odwagę. Masz tu jeszcze rewolwer. Chodź, przeszukamy korytarz.

Szły przez ponure sklepienie w kierunku, z którego je przyprowadzono. Korytarz był wąski i niski, powietrze w nim duszne i stęchłe. Karia, idąca przodem, nagle stanęła i aż krzyknęła z radości:

— Znalazłam coś! Nie będziemy głodować. Patrz!

Przy podmurowaniu korytarza, w głębokim, kwadratowym otworze leżał zapas tortillas, jak nazywają Meksykanie swe płaskie placki ryżowe. Obok stała wielka butelka napełniona jakimś płynem. Poświeciwszy latarką, Emma stwierdziła, że jest to oliwa.

— Jakie szczęście! — zawołała. — Myślałam już, że umrę z głodu.

— Teraz już głód nam nie grozi. Mamy placki i torbę z żywnością, którą zabrałam Parderowi. Chodźmy dalej!

— Czy nie narażamy się na niebezpieczeństwo, krążąc po tych korytarzach? Nietrudno tu zabłądzić.

— Nie, wiem dokładnie, skąd przyszliśmy. Miałam wprawdzie oczy zawiązane, ale czułam, że drzwi mojej celi otwierały się w kierunku, z którego nas przyprowadzono.

Posuwały się wolno. Dotarły wreszcie do drzwi z ciężkim, żelaznym rygłem mocno naoliwionym. Drzwi były przymknięte. Gdy je otworzyły, wydostały się na drugi korytarz, tworzący z pierwszym kąt prosty. Karia ostrożnie zbadała drzwi. Miały rygle z obu stron, można je było zamykać od wewnątrz i od zewnątrz.

— Wszystko tu doskonale przygotowano wcześniej — stwierdziła. — Zewnętrzny rygiel miał służyć do tego, aby zamknąć korytarz prowadzący do naszych cel, wewnętrzny zaś miał uniemożliwić wejście tym, którzy by nas chcieli uwolnić.

— Groza mnie przejmuje, jaki to los miał nas spotkać.

— Szczęście, żeśmy go uniknęły.

— Ale co dalej?

— Nie traćmy nadziei. Sternau będzie nas szukać i może odkryje to więzienie. Mamy broń, amunicję, oliwę i żywność. Możemy się bronić. Gdybym tylko wiedziała, gdzie mamy się zwrócić: na prawo czy na lewo?

— Słuchaj! — Emma przerwała jej szeptem. Przycisnęły się, nasłuchując zbliżających się kroków.

— Wracajmy — zdecydowała Karia.

Prędko przekradły się z powrotem i zaryglowały drzwi celi. Ktoś zbliżył się, lecz minął ją. Lekko tylko uderzył w drzwi, jakby chcąc się przekonać, czy są otwarte, czy zamknięte.

— To były kroki kilku ludzi — szepnęła Emma.

— Tak, o ile mnie słuch nie myli, czterech — dodała Karia. — To chyba Verdoja i strażnik, którzy prowadzą Mariana i seniora Ungera. O, zatrzymali się. Słuchaj, o czym mówią!

Rozległ się głos eks-rotmistrza:

— Stać, jesteście na miejscu. Jednego tu, drugiego obok. Jazda!

Minęło kilka minut w zupełnej ciszy, po czym rozległ się zgrzyt rygła. Po chwili usłyszały kroki

dwóch ludzi. Zatrzymawszy się przed drzwiami celi Karii, usiłowali je otworzyć.

— Ach, zamknął! — roześmiał się Verdoja.

— To już było zbyt ciężkie — mruknął strażnik. — Teraz musimy czekać.

— Nie chce widać, byśmy mu przeszkadzali. Ale nie mam wcale zamiaru liczyć się z Parderem.

— A gdy zechce wrócić?

— Niech czeka cierpliwie na nas!

— A jeżeli zacznie biegać po korytarzach i zabłądzi albo zobaczy coś, czego widzieć nie powinien?

— Zamkniemy kolejne drzwi, wtedy będzie mógł się dostać tylko do następnego korytarza i będzie musiał czekać, aż przyjdziemy po niego.

— A jeżeli wyjdzie z celi tylnym wyjściem?

— Wtedy również niedaleko zajdzie. Tamtych drzwi nie potrafi otworzyć, nie zna przecież ich tajemnicy. Chodź, za godzinę przyjdiesz po niego!

Odeszli. Dziewczyny odetchnęły z ulgą. Na myśl bowiem, że mogą być znowu schwytane, serca biły im niespokojnie. Kiedy kroki umilkły, Emma zapytała:

— Co teraz?

— Uwolnimy Mariana i Ungera. We czworo nie będziemy musieli się ich obawiać.

Emma odryglowała zasuwę i wyszły na poprzeczny korytarz. Szły dość długo, aż znalazły się przed dwojgiem sąsiadujących ze sobą drzwi. Karia zapukała do jednych. Nikt nie odpowiadał. Zapukała więc do sąsiedniej celi — również nikt nie odpowiedział. Odsunęła rygiel i oświetliła latarką wewnątrz. Światło padło na męską postać przykutą do ziemi dwoma łańcuchami.

— Senior Unger! — zawołała. — Dlaczego pan nie odpowiadał na moje pukanie?

Zabrzęczały łańcuchy. Unger poruszył się, ogromnie zaskoczony. Nie widział, kto otworzył drzwi, gdyż Karia oświetlając celę, sama stanęła w cieniu.

— Seniorita Karia? — upewnił się, poznając ją po głosie. — W jaki sposób dostała się pani tutaj?

— Jesteśmy wolne!

— Jesteście wolne? O kim pani mówi?

— O sobie i o senioricie Emmie.

— Ach! Więc jest razem z panią?

— Jestem tutaj — odezwała się Emma, wchodząc do celi. — Dzielna Karia zabiła Pardera, zabrała broń i mnie oswobodziła. Teraz pan również będzie wolny.

— Chwała Bogu! Ale gdzie jest Verdoja?

— Nie wiem. Strażnik wróci dopiero za godzinę.

— Mamy więc czas. Senior Mariano jest w sąsiedniej celi.

— I jego uwolnimy — powiedziała Indianka. — Ale w jaki sposób zdejmujemy pańskie kajdany? Nie mamy przecież kluczy, by otworzyć zamki.

— Łańcuchy nie mają wcale zamków, są tylko przymocowane do kawałków żelaza wbitych w ścianę. Nie mogę ich jednak dosięgnąć. Niech pani je obejrzy, proszę.

Było tak, jak mówił. Leżał na plecach, obie ręce miał przymocowane do ściany za pomocą łańcucha. Łańcuchy były krótkie, więc ręce rozstawiono mu w ten sposób, aby jedna nie mogła dosięgnąć drugiej. Karia zorientowała się w okamgnieniu, jak będzie można zdjąć łańcuchy. Nie minęła minuta, a Unger stał już na nogach i rozprostowywał swe potężne mięśnie marynarza, by pobudzić krążenie krwi.

— Ależ to szczęście w nieszczęściu! Nie traćmy czasu na rozmowę i szybko uwolnijmy Mariana.

Otworzyli sąsiednią celę. Mariano znajdował się w takiej samej pozycji jak Unger. Nie odpowiedział na pukanie, przekonany, że któryś z dręczycieli przychodzi drzwi z niego. Skrępowany był tak samo jak Unger, dlatego też oswobodzenie z więzów zajęło zaledwie kilka minut. Teraz obie dziewczyny musiały opowiedzieć, w jaki sposób się uwolniły. Unger i Mariano byli pełni podziwu dla ich przytomności umysłu. One zaś miały obok siebie mocnych i odważnych obrońców.

Mariano zaproponował, aby panie zatrzymały sztylety, a rewolwery dały jemu i Ungerowi. Mężczyźni wzięli też naboje zabrane Parderowi, a Unger również flaszkę z oliwą. Zdecydowano też, że wszyscy czworo nie rozstaną się pod żadnym pozorem, każde bowiem rozłączenie mogłoby się okazać ostateczne. Mimo to podzielili zapasy jedzenia na cztery części. Każdy też miał mieć przy sobie dzban z wodą. Nie mogli przecież przewidzieć, co się jeszcze stanie.

Rozdzieliwszy wszystko między siebie, zaczęli badać miejsce swego przymusowego pobytu. Korytarz, w którym znajdowały się cele obu mężczyzn, był u wejścia na głucho zamknięty, u wyjścia zaś kończył się otwartym sklepieniem skalnym. Przez nie przechodziło się do korytarza, przy którym znajdowały się cele Emmy i Karii. Korytarz prowadził prosto do drzwi zamkniętych na dwa zardzewiałe rygle żelazne. Chociaż Unger i Mariano wyteżywszy siły odsunęli je, drzwi nie chciały puścić.

O tych właśnie drzwiach powiedział Verdoja, że Padero nie potrafi ich otworzyć, gdyż nie zna tajemnicy.

— Co robić? — zastanawiał się Unger.

— Podobno mają jakiś tajemniczy mechanizm — powiedziała Karia. — Trzeba dokładnie je obejrzeć, może go znajdziemy.

Przy świetle latarki zaczęli sprawdzać każdy sęk, każde wgłębienie, przeszukali podłogę i ściany — wszystko na próżno.

— To nam niewiele pomoże — rzekł w końcu Unger. — Musimy uciec się do podstępu. Niedługo powinien przyjść strażnik. Trzeba go schwytać, zmusimy go, aby nam pokazał drogę.

— Dobry pomysł — poparł go Mariano. — Mamy krzesiwo Padera, możemy więc zgasić latarkę, by nas nie zdradziła. Wracajmy. Jeden zostanie w korytarzu, drugi zaś schowa się za uchylonymi drzwiami celi. Gdy tylko wejdzie strażnik, obezwładnimy go.

— A my? — zapytała Karia.

— Panie ukryją się w celi.

Mariano pozostał w ciemnym korytarzu, Unger schował się za drzwiami. Czekali chwilę, zanim usłyszeli jakiś szmer. Niebawem rozległo się głucho uderzenie w drzwi, potem jakieś dziwne szarpnięcie, wreszcie kroki. To szedł strażnik. Mała latarka rzucała niewyraźne światło, które padło po chwili na otwarte drzwi. Strażnik stanął i zawołał półgłosem:

— Senior Padero!

Nikt nie odpowiedział, podszedł więc bliżej do wejścia i zaczął rozglądać się po korytarzu. Słabe światło padło na postać Mariana, opartego o ścianę korytarza.

— Senior Padero? — powtórzył strażnik.

— Tak — potwierdził Mariano, zmieniając głos.

— Senior Verdoja odjechał do hacjendy, mam podążyć tam razem z panem.

— A reszta?

Gdyby w korytarzu nie było tak ciemno, strażnik nie dałby się zwieść. Ponieważ jednak postać Mariana była tylko na wpół oświetlona, a głos jego zmieniony, strażnik przekonany, że stoi przed nim porucznik, powiedział:

— Zawrócili wszyscy,

— Wszyscy?

— Tak, senior Verdoja chciał początkowo posłać tylko paru ludzi, ale ponieważ Sternau to siłacz i spryciarz nie lada, więc pojechali wszyscy. Nagrodę otrzymają dopiero wtedy, gdy złapią doktora żywego lub przyniosą jego głowę. Mam nadzieję, że to im się uda.

— Konie mają przecież zmęczone...

Unger zorientował się, że Mariano chce wyciągnąć od strażnika jak najwięcej szczegółów. Zaczął się jednak obawiać, że przedłużanie rozmowy może wywołać niepożądane skutki. Podkraśl się więc od drzwi w pobliże strażnika. Ten nic nie podejrzewając, mówił dalej:

— Udali się najpierw do hacjendy, gdzie otrzymają wypoczęte konie. A zresztą te dwa łotry, Mariano i Unger, są zamknięci i przykuci łańcuchami do ściany, o ucieczce nie ma mowy.

— Naprawdę? — zapytał Mariano.

Po tych słowach zbliżył się do strażnika, a Unger od tyłu oburącz chwycił go za gardło. Napadnięty wypuścił z rąk latarkę, jęknął głucho, a ciałem jego wstrząsnął dreszcz. Po chwili osunął się na ziemię.

— W porządku — powiedział Unger. — Zemdlął. Zapalmy światło!

Strażnik leżał bez ruchu. Był zupełnie sztywny, oczy miał szeroko otwarte, twarz szarą.

— Nie zemdlął, ale umarł — stwierdził Mariano.

— To wykluczone! Przecież tylko trochę go przygniotłem.

— Ależ, senior, to nie jest kolor twarzy człowieka zemdlonego. Umarł naprawdę, ze strachu, bo pochwyciliśmy go tak niespodziewanie.

— Do diabła! Istotnie wygląda jak martwy. Szkoda, że łotr spletał nam takiego figla. Kto teraz wskaże wyjście?

— Może znajdziemy drogę i bez niego. Wyjdziemy po prostu tamtędy, którą on wszedł.

— Na pozór to proste, senior, ale korytarze tworzą labirynt, gdzie bardzo łatwo zablądzić. A poza tym te dziwaczne drzwi, które nie każdy potrafi otworzyć.

— Zobaczymy. Przede wszystkim jednak trzeba stwierdzić, czy rzeczywiście umarł.

Mariano wyjął sztylet zza pasa strażnika i naciął nim jego rękę. Pojawiło się tylko kilka kropli krwi. Obnażyli mu pierś, słuchali czy oddycha i czy serce bije. W końcu nabrali całkowitej pewności, że Meksykanin nie żyje.

— Trudno to wytłumaczyć — mówił Unger. — Przecież ledwo go tknąłem, a padł niby rażony piorunem. Położymy go obok Pardera.

Przeszukali kieszenie zmarłego. Znaleźli stary tombakowy zegarek, mały scyzoryk i dużo papierosów. Sztylet i dwururkowy pistolet zabrali już wcześniej.

Wezwali panie i opowiedzieli, co się stało.

— Ten człowiek nie wyglądał wcale na tchórza — zauważyła Karia. — Senior Unger zapewne go udusił.

— Skądże znowu — zaprzeczył Unger. — Może nie był tchórzem, ale na pewno miał nieczyste sumienie. A ludzie o nieczystym sumieniu umierają niekiedy od nagłego strachu. Nie sprzecajmy się. Zobaczmy lepiej, czy zostawił za sobą wolną drogę.

Udali się do położonego prostopadle korytarza. Idąc na prawo natrafili na otwarte drzwi, prowadzące do kolejnego korytarza. Doszli do kamiennej ściany zamykającej dalsze przejście. Wrócili więc i zaczęli przeszukiwać lewą stronę. Wkrótce zobaczyli drzwi zamknięte na dwa rygle. Odsunęli zasuwy, ale drzwi nie można było otworzyć.

— I te kryją jakąś tajemnicę — powiedział Unger rozczarowany.

— Szukajmy dalej — nalegał Mariano.

Z wyteżoną uwagą starali się zgłębić zagadkę. Na próżno.

— Wysilek nasz daremny — rzekł wreszcie Mariano. — Musimy pomyśleć o drugiej zasadzce.

— Na kogo? — spytała Emma.

— A Verdoja, zapomniałaś o nim?

— Mariano ma rację — wtrącił Unger. — Jeżeli strażnik nie przyprowadzi Pardera, Verdoja będzie przekonany, że obu przytrafiło się jakieś nieszczęście. Będzie więc ich szukać w piramidzie. Powinniśmy czatować na niego jak na strażnika.

— A jeżeli i jego senior udusi?

— Nie chwycę go w ogóle za gardło. Obaj z Marianem przytrzymamy go mocno. Zwiążecie go, my zaś postaramy się, aby się nie bronił. Chcąc ratować własne życie, będzie musiał wrócić nam wolność.

— To jedyny sposób na wydostanie się stąd — potwierdził Mariano. — A więc wracajmy do naszego korytarza.

— Mamy dosyć czasu — powiedziała Karia. — Verdoja nie spodziewa się jeszcze strażnika i upłynie kilka godzin, zanim go zaczną szukać.

— Niech więc seniority spróbują się przespać, my będziemy czuwać.

Dziewczęta zaakceptowały tę propozycję. Ponieważ bały się spać w pobliżu zwłok, położyły się w celi, w której wcześniej przebywał Mariano. Oświetlał ją blask latarki. Mężczyźni usiedli pod drzwiami, przy których schwytyli strażnika. Tu również spodziewali się ująć rotmistrza.

Jak opowiadał strażnik, Verdoja wraz ze swoimi Meksykanami ruszył konno do hacjendy. Dziedziczył ją, należała do jednej z sześćdziesięciu posiadłości położonych w stanie Chihuahua. Znajdowała się o dwa dni drogi od miasta, a do stolicy Meksyku trzeba było aż tydzień jechać konno. Jego przodkowie, prawdziwi hacjenderzy, zajmowali się wyłącznie chowem bydła i stronili od wszelkiej polityki. Verdoja był pierwszy z rodu, który odstąpił od takiego trybu życia. Dumny i ambitny, marzył o głośnej karierze. W Meksyku, kraju rozbitym na dziesiątki partii, była to rzecz łatwa i trudna zarazem. Przeczuwając, że Juarez zajdzie bardzo daleko, przystał do niego i dosłużył się w wojsku rangi rotmistrza. Początek służby był obiecujący, ale koniec — smutny i haniebny.

Verdoja przybył do hacjendy późnym wieczorem. Nikt go nie oczekiwał. Wysłał wprawdzie gońca z wiadomością dla strażnika o przybyciu jeńców, ale jednocześnie wydał temu ostatniemu polecenie, aby nikomu o tym nie wspominał. Dlatego mieszkańcy byli pogrążeni w głębokim śnie. Zbudził kilku vaquerów i rozkazał im przyprowadzić wypoczęte konie. Meksykanie dosiadłszy ich ruszyli natychmiast na poszukiwanie Sternaua. Byli przekonani, że go schwycą lub zabiją i że nie minie ich obiecana nagroda.

Dopiero teraz Verdoja mógł pomyśleć o sobie. Był kawalerem. Gospodarstwem zajmowała się jego daleka krewna. Nagłe przybycie kuzyna było dla niej niespodzianką. Myślała, że przebywa wraz z Juarezem w południowym Meksyku. Zdziwiła się więc bardzo, gdy go ujrzała. Zdziwienie przeszło w grozę, gdy spostrzegła jego okaleczenie: brak czterech palców i oka. Zaczęła mu głośno współczuć, lecz eks-rotmistrz przerwał ostro jej lamentsy i kazał sobie przynieść kolację. Chciwie zjadając posiłek oświadczył, że w towarzystwie strażnika trza przybyć do hacjendy pewien gość nazwiskiem Pardero. Poleciał przygotować dla niego pokój i zostawić wieczerzę, po czym udał się na spoczynek. Był bowiem bardzo zmęczony.

Obudził się późnym rankiem. Stara seniora stała nad jego łóżkiem z filiżanką czekolady. Wypiwszy w milczeniu, zapytał:

— Czy senior Pardero już wstał?

— Senior Pardero?

— No tak. Ten, którego wczoraj oczekiwałem.

— Ach, ten. Nie ma go jeszcze.

— Nie ma go jeszcze? — zdumiał się Verdoja.—A strażnik, który go miał przyprowadzić?

— Nie widziałam go również.

— Spałaś zapewne i nie słyszałaś, jak przybyli. Sami sobie poradzili bez ciebie.

Kobieta oburzyła się nie na żarty.

— Wybij sobie z głowy raz na zawsze, że ktokolwiek może sobie dać radę beze mnie. Jestem tu panią domu i z pewnością zbudzono by mnie, gdyby goście przybyli w nocy. A zresztą, czuwałam do rana.

Verdoja nie odpowiedział ani słowem, podniósł się, wyszedł na podwórze i rozkazał osiodłać konia. W dziesięć minut później odjechał w kierunku piramidy. Przybył do niej nie spotkawszy po drodze nikogo, zsiadł szybko z wierzchowca i zaprowadził go w zarośla. Obok wznosiła się skała; w jej otworach i szczelinach rósł drobny mech. Verdoja ukląkł, przywarł do niej plecami, nacisnął. Głaz ustąpił. Otwór był tak duży, że mógł się w nim zmieścić schylony człowiek. Przcisnął się do środka, po czym umieścił głaz w poprzednim położeniu. W jaskini stało kilka latarek. Zapalił jedną z nich i poszedł korytarzem prowadzącym w dół skały. Dotarł do schodów, które najpierw pięły się w górę, później opadały w dół. Teraz szedł to wprost przed siebie, to zataczając łuk. Przechodził przez komory skalne, mijał cele. Lekkim dotknięciem otwierał i zamykał drzwi. Znowu szedł po schodach w górę. Otworzywszy kilkoro jeszcze drzwi w równie tajemniczy sposób, minął szereg krużganków i korytarzy i dotarł wreszcie do drzwi, o których otwarcie daremnie kusili się jeńcy. Ledwie je musnął dłonią, ustąpiły, choć zamknięte były z drugiej strony na dwa rygle. Verdoja przeszedł jeszcze przez drzwi, które strażnik zostawił otwarte, i dostał się wreszcie na korytarz, prowadzący do cel Mariana i Ungera. Był pewny, że Pardero ciągle jeszcze jest u Indianki i że strażnikowi coś nieprzewidzianego nie pozwoliło przybyć do hacjendy. Zmęczony, zwolnił kroku. Wkrótce skręcił w korytarz, przy którym znajdowały się cele obu dziewcząt. W pewnej chwili światło jego latarki padło na Mariana. W tym samym momencie ktoś chwycił go od tyłu i rozległ się głos Ungera:

— Stać! Mam go!

— Jeszcze nie! — ryknął Verdoja, wyrwał się i z taką siłą kopnął Mariana w brzuch, że ten runął na ziemię. Eks-rotmistrz ruszył biegiem, nie wypuszczając z rąk latarki. Zorientował się, co zaszło. Jeńcy zabili Pardera i strażnika, inaczej bowiem nie mogliby się uwolnić. Dlatego też zdecydował się nie na walkę, lecz ucieczkę.

— Za nim! — krzyknął Unger. Mariano był już na nogach.

— Bez Emmy i Karii?

— Nie ma na to czasu!

— A jeżeli je zgubimy? Muszę je sprowadzić!

Było to zbyteczne. Dziewczęta już stały za nim z zapalonymi latarkami w rękach. Karia nie zapomniała nawet wziąć flaszki z oliwą.

— Prędko, prędko! — zawołał Mariano, śpiesząc za Ungerem, który już doganiał uciekiniera.

Verdoja dotarł do jakichś drzwi. Otworzyły się pod jego dotknięciem, nie ruszył nawet rygli. Zobaczył przed sobą ciemny loch, przez który — niby kładka — przełożona była deska. Oparł na niej stopę w chwili, gdy Unger dobiegał do drzwi. Pod jego ciężarem deska zadrżała, zaskrzypiała. Miał jeszcze dwa kroki do przeciwległej ściany lochu, gdy nagle deska zatrzeszczała, pękła i Verdoja runął w głąb z przeraźliwym krzykiem:

— O Dios!

Po chwili dał się słyszeć odgłos jego upadku.

— Na Boga! — zawołał Unger, zatrzymując się pod drzwiami. — Zginął, zabił się!

— Jak, gdzie? — dopytywał się Mariano.

— Wpadł w przepaść.

Podbiegły obie dziewczyny. Emma chciała zamknąć za sobą drzwi, ale na szczęście Mariano ujął ją w porę za rękę.

— Na miłość boską, seniorito, nie możemy zamykać drzwi, bo nie potrafimy ich otworzyć.

Znajdowali się w czworokątnej jaskini, około pięciu metrów długiej i tyleż szerokiej. Jej ściany okalały głęboką przepaść. Można ją było przebyć jedynie po desce.

Ponieważ przestrzeń między drzwiami a skrajem deski wynosiła nie więcej niż metr, trudno było nawet stać obok siebie.

W świetle latarki dostrzegli w górze otwór tej samej wielkości, co przepaść.

— Była tu kiedyś studnia — zauważył Unger.

— Bez wątpienia — potwierdził Mariano. — Słuchajcie!

— Z głębi wydobywały się głuche dźwięki. Unger ukląkł i zawołał:

— Verdoja!

Odpowiedział mu przeraźliwy ryk.

— Czy jest pan przytomny?

Rozległ się znowu ryk. Słów nie można było odróżnić.

— Czy możemy panu pomóc?

I teraz nie można było nic zrozumieć.

— Już po nim. Runął z wysokości jakichś dwudziestu metrów — rzekł Mariano.

— Spotkała go zasłużona kara — dodała Indianka ponuro. — Ale co się z nami stanie?

— Drzwi są otwarte — powiedziała Emma. — Może teraz poznamy ich tajemniczy mechanizm.

Oświetlili wejście. Ponad drzwiami i na progu widać było głębokie otwory od rygli, którymi — obecnie odwiedzionymi — okuto drzwi od góry i dołu. W jaki sposób otwierają się i zamykają? Cała czwórka z największym wysiłkiem pracowała nad wyjaśnieniem tej zagadki. Na próżno. Przez przepaść też nie można było przejść. Jęki nieszczęśliwej ofiary stawały się coraz przeraźliwsze, nie do zniesienia. Wyszli z pomieszczenia. Drzwi zostawili otwarte. Z obawy, aby się nie zatrzasnęły, podłożyli pod próg nieco słomy zabranej z cel. Stali teraz wszyscy czworo i bezradnie patrzyli po sobie.

— A może Verdoja, idąc tu do nas, nie zamknął jakichś drzwi? — rzekł z nadzieją w głosie Mariano. — Trzeba zobaczyć.

Poszli korytarzem. Dotarli do tych samych drzwi, przed którymi już raz musieli się zatrzymać. Były zamknięte i mimo ich wysiłków nie chciały ustąpić,

— Jesteśmy zamknięci — ze smutkiem stwierdziła Emma. — Jesteśmy skazani na śmierć.

— Nie rozpaczajmy — pocieszał Mariano. — Bóg nie dopuści, abyśmy zginęli.

— Musimy wyczerpać wszystkie sposoby — rzekł Unger. — A może jednak uda się nam odkryć tajemnicę tych drzwi?

— Nie łudźmy się, nie odkryjemy jej. Tylko Sternau mógłby nam pomóc — westchnęła Karia.

— A jeżeli nie przyjdzie? — biadała Emma. — Jeżeli go złapią i zabiją?

— Sternauowi może się uda wymknąć pogoni — uspokajał Unger. — A zresztą zbytecznie łamiemy sobie głowę nad tym, w jaki sposób otworzyć drzwi. Mamy przecież doskonałe narzędzie: sztylety.

— Prawda! — zawołała Emma. — Po prostu przebijemy wyjście.

Unger mimo tragizmu położenia nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

— Ależ nie to miałem na myśli, seniorito. To drewno jest twarde jak stal. Przepiłowywanie czy przecinanie drzwi byłoby potworną pracą wielu miesięcy i nawet gdyby poszło gładko, nie wiadomo, czy dotarlibyśmy do wyjścia. Mamy przecież już jedne drzwi otwarte, ale co z tego. Sądzę raczej, że powinniśmy usunąć część muru, okalającego drzwi.

— Racja! Do roboty! — zakomenderował Mariano.

— Można by zastosować jeszcze lepszy i prostszy środek — zawołała Karia. — Ukręcimy powróż i jedno z nas spuści się do studni. Jeżeli Verdoja żyje, będzie musiał powiedzieć, w jaki sposób drzwi się otwierają.

— Z czego ukręcimy powróż?

— Z rzemieni, którymi byliśmy skrępowani. Leżą jeszcze w naszych celach. Przydać się mogą również ubrania obu zmarłych, no i część naszej garderoby. Może zdołamy wyrwać ze ścian łańcuchy naszych dwóch seniores. Dla mnie i dla seniority Emmy zabrano kilka koców. Też są w celach. Jeżeli to wszystko potniemy i zwiążemy, postronek będzie gotowy.

Pomysł Karii spodobał się wszystkim. Złączono kawałki sznura, pokrajano ubranie Pardera i strażnika, pocięto koce. Powróż był długości około dwudziestu metrów. Chcąc go wypróbować, Mariano i Unger zaczęli ciągnąć z całej siły. Nie pękł. Mariano oświadczył, że ponieważ jest lżejszy od Ungera, to on spuści się na dół. Wszyscy podeszli do studni. Mieli przy sobie cztery dzbany napełnione wodą. Poświęcili zawartość jednego, aby powróż zwilżyć; dzięki temu stał się mocniejszy i elastyczniejszy. Jeden jego koniec Mariano przewiązał sobie pod ramionami, a na biodrze umocował latarkę.

— Teraz mi pomożecie — powiedział — ale z powrotem sam się będę wspinać po sznurze.

Uważał, że pójdzie mu to łatwiej niż ciągnięcie sznura Ungerowi, nawet gdyby mu pomagały panie. Ponadto zaś obawiał się, że sznur, ocierając się o studnię, mógłby łatwo pęknąć.

Kiedy wszystko było już gotowe, Mariano ukląkł, chwycił sznur obiema rękami, po czym z całej siły odbił się od brzegu nogami.

— A teraz na dół, w imię Boże!

Podczas gdy się opuszczał, Unger trzymał sznur, Emma zaś i Karia klęcząc, patrzyły w dół, jak powoli oddala się światło latarki Mariana.

— Na miłość boską, żeby się tylko nie udusił! — zawołała Emma. — To bardzo stara i głęboka studnia, mogą się w niej gromadzić niebezpieczne gazy.

Unger z uśmiechem pokręcił głową.

— Seniorito, czy słyszy pani głos rotmistrza?

— Oczywiście. Przecież cały czas jęczy przeraźliwie.

— No właśnie. Gdyby na dole były trujące gazy, już dawno by się udusił.

Po pewnym czasie, gdy sznur zsunął się jeszcze na jakieś dwa metry, napięcie jego zelżało. Mariano stanął na dnie. Wszyscy troje na górze pochylili się nad słuchując.

Studnia nie była okrągła, lecz czworokątna. Ściany miała szorstkie, słusznie więc podejrzewał Mariano, że powróż mógłby się przetrzeć. Zapewne przed laty czerpano z niej wodę, teraz wyschła zupełnie. Mariano stał na skalistym dnie otoczonym piaszczystą warstwą ziemi; tędy przedostawała się przed laty woda.

Verdoja leżał skulony jak pies. Jego jęki tutaj rozbrzmiewały jeszcze straszliwiej, aniżeli słyszane z góry. Na ustach miał krwawą pianę, oczy szeroko otwarte. Po ich wyrazie Mariano poznał, że nie stracił jeszcze przytomności.

— Przestań pan wrzeszczeć — powiedział Mariano. — Przychodzę z pomocą.

Verdoja zamilkł i obrzucił porucznika wzrokiem pełnym nienawiści.

— Gdzie jest Pardero? — Widać było, że każde wypowiedziane słowo przychodzi mu z wielkim trudem.

— Nie żyje.

— A strażnik?

— Również.

— A dziewczęta?

— Są z nami na górze.

— Morderco!

— Kto tu jest mordercą? Mimo to uratuję pana.

— W jaki sposób?

— Wciągniemy pana po sznurze na górę i odwieziemy do hacjendy.

Na obolałej twarzy eks-rotmistrza mignął cień nadziei. Po chwili zapytał:

— W jaki sposób wydostaniecie się z piramidy?

— Powie nam pan, jak należy otworzyć drzwi i wskaże drogę.

— Ach! Więc tego nie wiecie?

Twarcz jego rozjaśnił uśmiech szatańskiej radości. Jak gdyby na tę jedną chwilę przestał cierpieć.

Po chwili zaczął krzyczeć:

— Musicie zginąć z głodu, musicie skonać z pragnienia, musicie zgnieć tutaj!

— Nie, nie zginiemy. Przecież chce pan odzyskać wolność i zdrowie, a w tym jedynie my możemy panu pomóc.

— Mam być wolny, zdrowy? Ach! — wyjęczał Verdoja. — Nigdy!... Mam ręce złamane i kręgosłup. Muszę zginąć...

— Nie zginie pan. Będzie pan żyć i to dzięki nam.

— Nigdy, nigdy! Gińcie razem ze mną! — na jego ustach pojawiła się krew. Zdawało się, że oczy wyjdą mu z orbit.

Mariano stracił cierpliwość.

— Ależ, człowieku, sam wpędzasz się do grobu! — zawołał.

— Chcę tego — jęknął Verdoja. — Lecz wy zginiecie wraz ze mną, wraz ze mną pójdziecie do piekła!

— Czy to pańskie ostatnie słowo? Verdoja syczał przez zaciśnięte zęby:

— Ostatnie, ostatnie, ostatnie...

— W takim razie... Jeżeli nie pomaga perswazja...

Ukląkł obok rannego, chwycił jego ramiona w miejscach złamania i ścisnął je z całej siły. Verdoja zawył tak przeraźliwie, że słyhać go było, jak przypuszczał Mariano, w całej okolicy.

— W jaki sposób można otworzyć drzwi? — zapytał porucznik.

— Nie powiem.

— Musisz powiedzieć, musisz! — Mariano coraz mocniej przygniatał jego ramiona. Głos, który Verdoja wydał teraz z siebie, był podobny do ryku tygrysa. Mimo to nie odpowiadał na pytania. Wtedy Mariano chwycił eks-rotmistrza za nogi. Lecz i to się na nic nie zdało. Były zupełnie nieczułe na ból, Verdoja bowiem złamał dolną część kręgosłupa. Widząc bezskuteczność wysiłków Mariana, uśmiechnął się tylko szydlerczo. Chłopak wpadł w jeszcze większy gniew.

— Śmieję się, śmieję, ty diable rogaty! Są jeszcze inne cierpienia!

Zebrawszy siły, zaczął ciągnąć rannego za ręce tak, jakby je chciał wyrwać ze stawów. Verdoja wrzasnął nieludzkim głosem, ale nie powiedział nic.

— Tyś gorszy od diabła! — zawołał Mariano. — Umieraj więc, jeżeli chcesz tego. Bóg nas nie

opuści.

Pociągnął za powróż na znak, że/chce się wydostać na górę. Verdoja zauważywszy to, podniósł głowę, splunął w jego kierunku i krzyknął załamującym się głosem:

— Bądźcie przeklęci, po trzykroć przeklęci!

Mariano ukląkł jeszcze obok eks-rotmistrza, przeszukał jego ubranie, zabrał zegarek, pieniądze, pierścienie, rewolwer, nóż i inne drobiazgi.

— Ty zbóju! — wykrztusił Verdoja.

— Może się nam przydadzą te rzeczy. W każdym razie bardziej niż tobie, kanalio!

Mariano wdrapał się po sznurze na górę. Z dołu dochodziły nieludzkie ryki. Znalazłszy się wśród swoich, porucznik opowiedział im, jakich sposobów używał, by zmusić zbója do mówienia. Emma i Karia odeszły na bok, nie mogąc słuchać tych okropności.

— Dlaczego pan nie zabił go? — chciał wiedzieć Unger.

— Nie chciał się ratować za cenę naszej wolności, niechże więc zginie taką śmiercią, jakiego nam przeznaczył.

— Nie mówmy więcej o tym. Czeka nas ciężka praca. Musimy rozłupać mur przy futrynie pierwszych zamkniętych drzwi. Gdy poznamy ich budowę, będziemy mogli otworzyć wszystkie pozostałe. Chodźmy już! Każda chwila jest droga.

POŚCIG

Stara Maria Hermoyes, zbudziwszy się następnego ranka po owej fatalnej dla porwanych nocy, była zdumiona, że pokój gościnny świeci pustką. Nie podejrzewała jednak niczego złego. Pomyślała, że obie panie i goście udali się na przejażdżkę konną. Kiedy jednak minął ranek i południe, a nikt nie wracał, zaniepokoiła się nie na żarty. Tuż po południu przyjechał Pedro Arbellez z Ungerem. Wtedy dopiero mieszkańcy hacjendy uświadomili sobie, co się stało. Trudno opisać rozpacz i przerażenie Arbelleza: biegał z jednego pokoju do drugiego, załamując ręce. Piorunowy Grot natomiast zachował całkowity spokój. Nie był to już słaby rekonwalescent, ale silny jak dawniej, żądny czynu westman. W ciągu kwadransa wywnioskował ze śladów, co zaszło. Nie minęło pół godziny, a już w towarzystwie starego Francisca pędził galopem na zachód. Mieli ze sobą konie zapasowe, na które załadowali prowiant oraz nieco odzieży i przedmiotów pierwszej potrzeby dla zaginionych. Piorunowy Grot był pewien, że porywacze opuścili hacjendę po północy, zyskali więc dwanaście godzin. Mimo to miał nadzieję, że ich dogonią. Dotarli jednak do przeciwległego podnóża gór dopiero wtedy, gdy Verdoja ze swymi, czterema jeńcami wjeżdżał na pustynię Mapimi.

Gdy obaj jeźdźcy przybyli na miejsce obozowania Meksykanów, Piorunowy Grot z łatwością odczytywał dobrze zachowane ślady. Francisco patrzył z podziwem na tego człowieka, dla którego każdy odcisk stopy, każde zgięte źdźbło trawy było otwartą księgą zdarzeń.

— Hm... — mruknął w zadumie traper obchodząc teren wokół wygasłego ogniska. — Wszystko wskazuje na to, że odbyła się tu jakaś walka. Myślę, że zwycięzca uciekł. Wygląda na to, że zaskoczył ich. O, tu — zwrócił się do Francisca — ustawiono strzelby. Jedną z nich porwał ten, który uciekł. Chyba był to jeden z naszych, prawdopodobnie Sternau. Ruszajmy!

Trop prowadził najpierw na zachód, później na południe. Unger odczytał bez trudu najważniejsze wypadki: śmierć dwóch pierwszych Meksykan goniących zbiega, potem zaś dwóch następnych. Niebawem też odkrył kamienny kurhan.

— Czy widzisz, Francisco, odciski kopyt trzech koni? Dwa szły luzem, na trzecim ktoś siedział. Sternau zabrał dwa wierzchowce należące do tych, których zabił. Chciał dostać się na tyły Meksykanów. Okrążył ich i jedzie za nimi. Mamy więc przed sobą i Sternaua, i wrogów.

Wyteżył wzrok w kierunku zachodnim, jakby w przekonaniu, że ujrzy ściganego. Po chwili uwagę jego zwróciła spora gruda piasku. Już na pierwszy rzut oka widać było, że nie jest to dzieło wiatru czy przypadku.

— To z pewnością znak zostawiony przez Sternaua — ucieszył się. — Musimy przyjrzeć mu się dokładnie.

Pogrzebał w piasku i wyciągnął z niego zwitek papieru. Rozwinąwszy go, odczytał:

Uciekłem. Reszta jeszcze w niewoli, zdrowa. Mam trzy konie i wystarczającą ilość naboii. Verdoja powalił mnie na dziedzińcu. Towarzyszył mu Pardero i jedenastu Meksykanów. Weszli przez okno kawalerzysty i podstępem obezwładnili wszystkich czworo. Zapomnieli przeszukać moje ubranie. Mam przy sobie papier i ołówek. Dlatego mogę zostawić tę wiadomość. Jeńcy zostaną uwolnieni. Nie należy upadać na duchu. Będę zostawiał wyraźne ślady. Idźcie za nimi.

3 września 1849, g. 9.00 rano.

Sternau.

Uradowani dosiedli koni. Konie meksykańskie nie męczą się nawet całodzienną podróżą; wierzchowce Ungera i Francisca były mocne i wypoczęte, więc mknęły galopem. Ponieważ jednak Sternau również jechał szybko, nieprędko mogli go dogonić.

Minęła większa część popołudnia. Wreszcie ujrzeni wśród dalekiej równiny trzy małe, czarne

punkty.

— To on, to on! —zawołał Piorunowy Grot. — Obok jeźdźca dwa konie idą luzem. Musimy go dopędzić, zanim zapadnie noc!

Spięli konie ostrogami i pognali jak wicher. Małe punkty zaczęły się powiększać. Nawet Francisco mógł już rozróżnić człowieka na koniu i dwa wierzchowce bez jeźdźców. W pewnym momencie mężczyzna podniósł strzelbę i zaczął nią machać nad głową.

— Zobaczył nas — ucieszył się Unger.

— Ale uważa za wrogów. Inaczej zatrzymałby się i czekał na nas.

— Mój poczciwy Francisco, jesteś dzielnym vaquerem, ale preriowcem nietęgim. Gdyby na nas czekał, traciłby niepotrzebnie czas, a każda chwila droga. Noc ukryje ślady tych zbójów, zostaniemy więc w tyle, oni zaś z pewnością będą jechali bez przerwy. A więc musimy wykorzystać światło dnia do maksimum. To jest więc powodem, dla którego Sternau nie osadził konia.

— Ale on przecież nie może wiedzieć, kim jesteśmy.

— W takim razie byłoby jeszcze nierozsądniej czekać na nas. Jestem jednak pewien, że się domyśla. Patrz, znowu daje znak!

Piorunowy Grot podniósł strzelbę i okręcił dookoła głowy. Teraz Sternau na pewno wiedział, że jadą za nim swoi.

— Mimo wszystko zbliżamy się do niego — zauważył Francisco.

— Oczywiście. Wziął konie, jakie mu się nadarzyły, podczas gdy my mogliśmy sobie dobrać najlepsze i to z pastwiska. Sternau zresztą waży o wiele więcej niż każdy z nas. Patrz, właśnie zmienia konia.

Zobaczyli, jak Sternau w pełnym galopie przeskoczył z jednego siodła na drugie.

— Nie traci czasu nawet przy zmianie wierzchowców i mądrze robi — pochwalił Piorunowy Grot. — Przekonasz się, że nie zmniejszy szybkości nawet wtedy, gdy zbliżymy się do niego i gdy się z nami przywita.

Odległość między jeźdźcami zmniejszała się coraz bardziej; już mogli się porozumiewać za pomocą głosu.

— Senior Sternau! — zawołał Piorunowy Grot. Doktor odwrócił głowę i odkrzyknął:

— Poznałem pana już dawno, senior Unger!

— Po czym?

— Tak jeździć konno potrafi tylko westman, a pan był jedynym westmanem w całej hacjendzie del Erina. Niechże się senior zbliży!

— Zaraz, zaraz.

Piorunowy Grot stanął w siodle i wydał przenikliwy okrzyk. Jego koń pomknął jak strzała; również koń Francisca przyśpieszył biegu. Wkrótce już obaj jechali u boku Sternaua.

— Witajcie, Bogu niech będą dzięki! — Sternau podał im rękę. — Dlaczego tak mocno obładowaliście konie idące luzem?

Piorunowy Grot się uśmiechnął.

— Przypuszczałem, że stan tych, których oswobodzimy, będzie bardzo opłakany, dlatego zabrałem sporo rzeczy. Mam tu również pański ubiór traperski i broń.

— Naprawdę?

— Tak. Mam także broń Mariana i mego brata.

— Dziękuję panu. Postąpił senior bardzo rozsądnie. A co słysząc w hacjendzie? Kiedy dowiedziano się o napadzie?

Piorunowy Grot opowiedział, co zaszło po porwaniu.

Sternau słuchał z uwagą. Nie zwolnili biegu aż do nastania nocy. Kiedy nie mogli już ścigać bandytów po śladach, musieli, chcąc nie chcąc, przerwać pogoń. Na szczęście w miejscu, w którym się zatrzymali, rosło nieco trawy i konie miały paszę. Ale nie było drzewa do rozpalenia ogniska; noc spędzili w ciemnościach.

Rozmawiali niewiele. Przede wszystkim należało odpocząć. O świcie Piorunowy Grot rzekł:

— Te łotry jechały przez całą noc.

— Z pewnością — przytaknął Sternau. — Wiedzą, że depczemy im po piętach. Teraz jednak, nad ranem, zatrzymają się na krótki odpoczynek. Musimy to wykorzystać na nadrobienie tego, co straciliśmy w nocy.

Na równinach meksykańskich nie ma długich świtów i zmierzchów. Dzień i noc następują po sobie niemal natychmiast. Sternau wypowiedział ostatnie słowa jeszcze w ciemnościach, a już za parę minut wstał jasny, pogodny dzień. Nasi trzej jeźdźcy pędzili co koń wyskoczy przez pustynię Mapimi.

NIEDŹWIEDZIE SERCE I BAWOLE CZOŁO

Tam, gdzie południowa granica Nowego Meksyku i Arizony dotyka Rio Grande del Norte, ciągnie się na południe od tej największej rzeki Meksyku wielkie płaskowzgórze, gdzie nigdzie tylko porosłe pagórkami. Płaskowzgórze to, przechodzące na wschodzie i północo-wschodzie w pastwiska Indian Komanczów, było własnością Apaczów, którzy żywili odwieczną nienawiść do Komanczów. Ci zaś wezwani zostali do Meksyku, aby wesprzeć wojska rządowe. Poszli chętnie w nadziei zdobycia bogatych łupów. Ściągały ich tysiące. Podzielili się na hordy i odbywali drogę potajemnie, aby ich śmiertelni wrogowie, Apacze, nie odkryli wyprawy.

Mała preria, rozciągająca się wśród płaskowzgorza, wrzała życiem. Był to czas, w którym dzikie bawoły rozpoczynają wędrówkę na południe. Szły w zgrupowanych szeregach, nie dziw więc, że przylegające równiny i prerie licznie nawiedzali Indianie, aby zaopatrzyć się w mięso na całą zimę.

Słońce stało wysoko i oświetlało krwawe widowisko. Jak okiem sięgnąć, leżały wokoło cielska pozabijanych bawołów, a czerwonoskóre postacie zajęte były przygotowywaniem mięsa. Płonęły ogniska, skwierczała soczysta pieczeń. Przez wbite w ziemię drągi przeciągnięto tysiące sznurów i rzemieni; wisiały na nich pokrajane cienko długie pasma mięsa bawolego, które suszyło się na słońcu i wietrze.

W samym sercu ruchliwego obozu stały trzy namioty z bawolich skór, ozdobione orlimi piórami na znak, że służą za schronienie wodzom. Dwa z nich były puste. Przed trzecim siedział Indianin wytatuowany od stóp do głów, skąpo okryty garbowaną skórą jelenia. Ciało miał pokryte licznymi bliznami, we włosach upiętych jak hełm tkwiło pięć orlich piór. Obok niego leżała długa strzelba. Był to Latający Koń, jeden z najznakomitszych wodzów Apaczów. Głowę już przyprószyła mu siwizna. Nie miał sił polować na bawoły. Ale serce biło w nim jeszcze młode i umysł zachował dawną bystrość, dlatego też szanowano go i ceniono w radzie, a słowo jego więcej znaczyło od słów setek dzielnych wojowników. Ponieważ nie mógł brać udziału w łowach, siedział przed swym namiotem i przyglądał się wojownikom trzech pobratymczych szczepów krzając energicznie.

Na nizinie rosło sporo krzewów. Tworzyły jakby zielone wyspy. Stary wódz niby nie zwracał na nie szczególnej uwagi, mimo to spostrzegł, że kilka gałązek lekko się poruszyło.

Chwycił za strzelbę w przekonaniu, że zabłąkała się tam jakaś drobna zwierzyna. Choć ramię jego było już słabe, chciał teraz przynajmniej wypróbować celność swego strzału. Byстрыm okiem rozpoznał w zaroślach ciemny punkt. Tam musiało się znajdować zwierzę. Podniósł lufę i już miał nacisnąć cyngiel, gdy nagle zarośla się rozchyliły i stanął przed nimi jakiś człowiek.

To nie był Apacz, to był ktoś obcy! Wróg czy przyjaciel? W jaki sposób znalazł się tu, pośród polujących Apaczów? Musiał to być znakomity myśliwy, inaczej nie udałoby mu się przedostać niepostrzeżenie aż na teren łowów.

Latający Koń nie spuszczał palca z cyngla. Obcy zaś podniósł do góry lewą dłoń na znak, że przybywa w pokojowych zamiarach. Ubrany w skórę bawołą, w rękę trzymał bardzo ciężką, starą dubeltówkę. Zza pasa wystawał mu, prócz torby z amunicją, sztylet i tomahawk. Czerwonobrunatna twarz nie pozwalała wątpić, do jakiej rasy należał.

Nie mówiąc nic, podszedł do wodza, usiadł po jego lewej stronie i odłożył strzelbę, sztylet oraz tomahawk. Był to dowód, że nie jest wrogiem.

— Synom Apaczów — odezwał się po chwili w czystym dialekcie tego plemienia — wypadły dziś łowy pomyślnie. Wielki Duch jest przychylny dla swych dzielnych dzieci.

— Apacz poluje, by mieć mięso, ale potrafi zabić nie tylko bawołu, lecz i wroga.

— Latający Koń mówi prawdę. Twarz starego drgnęła.

— Jesteś obcy, skąd więc mnie znasz?

— Nie widziałem cię nigdy, lecz sława Latającego Konia płynie przez góry i prerie. Kto go zobaczy, ten pozna natychmiast.

— Latający Koń jest wodzem, nosi orle pióra i dosiada konia, gdy porzuca obóz.

Przybysz zrozumiał aluzję.

— Inni wodzowie — odparował — mają również konie, ale ukrywają je, gdy idą na zwiady. Mają także prawo do wielu orlich piór, do przywieszania u pasa więcej niż trzydzieści wrogich skalpów, lecz nie chcą, aby każdy spotkany rachował je. Głów ich nie przyprószyła jeszcze siwizna, mimo to wiedzą, że często odrobina sprytu i podstępny więcej jest warta niż cały namiot prochu i ołowiu.

Słowa te wywarły na starym wielkie wrażenie. Dużo orlich piór i więcej niż trzydziestu zabitych wrogów! Tym nawet sam Latający Koń poszczycić się nie mógł. Rzekł więc:

— Obcy człowiek jest odważny i przebiegły. Zakrada się w sam środek obozowiska synów skalpu. To udaje się zwykle tylko sławnemu wojownikowi. Obcy nie jest Komanczem, synowie Apaczów są na łowach, a nie na ścieżce wojennej i topór wojenny leży zagrzebany. Czy obcy przybywa, by wypalić z nami fajkę pokoju?

— Już wypalił.

— Więc jest przyjacielem Apaczów?

— Jest ich bratem. Zna go każdy Apacz z Jicarilla. A przyszedł tu dlatego, że szuka sławnego wodza, który się zwie Shosh-in-lit, Niedźwiedzie Serce.

Twarz starego ożywiła się. Obrzucił przybysza zdumionym, lecz przyjaznym wzrokiem.

— Obcy jest bratem Niedźwiedziego Serca?

— Tak.

— I ma trzydzieści skalpów swych wrogów?

— Jeszcze więcej.

— W takim razie witam cię, Mokashi-tayiss, Bawole Czoło, wodzu Miksteków. Jesteś królem polujących na bawoły, dlatego nie nosisz orlich piór, a zostawiasz je w namiocie.

— Latający Koń zgadł. Czy brat mój, Niedźwiedzie Serce, jest tu, wśród wojowników Apaczów?

— Tak. Zabił dziś sam więcej niż dziesięć bawołów. Niechaj wódz Miksteków spotka się ze swym bratem. Wojownicy Apaczów będą również jego braćmi i nie zabiją go.

Przez twarz Bawolego Czoła przemknął uśmiech. Powiedział:

— Apacze nie schwytaliby Bawolego Czoła i nie potrafiliby zabić go, nawet gdyby byli jego wrogami. Bawole Czoło nie boi się nikogo.

Stary dłuższy czas milczał, po czym zapytał:

— Czy mam zawołać któregoś z łowców, aby przyprowadził konia Bawolego Czoła?

Ten pokręcił przecząco głową:

— Wojownicy Apaczów zajęci są zabijaniem bawołów. Mokashi-tayiss sam sprowadzi swego konia. Nie jest to wstyd dla wodza dbać o wierzchowca, który go nosi.

Wstał i pobiegł w zarośla. Przekradał się przez nie bezszelestnie od krzaku do krzaku, tak że nie dostrzegł go ani jeden Apacz. Preria, tworząca tu coś w rodzaju zakola, stykała się z olbrzymim dziewiczym lasem, który pokrywał wzgórze i wąwozy, ciągnące się aż do gór. Bawole Czoło wszedł w las i miał właśnie zamiar zejść do jednego z wąwozów, gdy usłyszał nagle od strony prerii głośne sapanie oraz odgłos łamanych krzaków i zarośli. Po chwili ujrzał bawoła, a za nim pędzącego na koniu jakiegoś Indianina. Miał on na plecach kołczan, w lewej ręce trzymał łuk, w prawej zaś długi,

giętki oszczep. Mógł mieć najwyżej dwadzieścia lat. Starszy i doświadczony wojownik wolałby z pewnością miękkie, soczyste mięso bawolicy od twardego i łykowatego bawołu i nie uganiałby się za olbrzymim zwierzęciem na tak niebezpiecznym terenie. Ogarnięty jednak pasją myśliwską pędził za nim przez las i zarośla.

To się źle skończy — pomyślał Mokashi-tayiss, kiedy bawół i ścigający go Indianin wpadli do wąskiego, krótkiego wąwozu. I nie pomylił się. Bawół raptownie zarył się kopytami w ziemię, obrócił, schylił łeb, ukryty niemal zupełnie pod potężną grzywą i pogalopował ku swemu prześladowcy. W tej samej chwili Indianin rzucił weń oszczepem, tak jednak nieszczęśliwie, że tylko go zranił. Bawół, parskając i buchając parą z nozdrzy, znowu pochylił łeb uzbrojony w ostre rogi i przebił nimi brzuch konia. Nim zwierzę upadło, Indianinowi udało się zeskoczyć na ziemię. Nie miał innej broni prócz łuku i sztyletu. W okamgnieniu sięgnął do kołczana; strzała trafiła bawołu prosto w oko. Myśliwy dał tym dowód niezwyklej przytomności umysłu, ale na niewiele to się zdało. Drugi raz nie zdołał już napiąć łuku. Bawół ryknął przeraźliwie, znieruchomiał na ułamek sekundy, po czym schylił łeb do uderzenia... I wtedy padł strzał. Bawół zwiesił łeb, przez jego olbrzymie cielsko przebiegł potężny dreszcz. Zwalił się najpierw na przednie kolana, później na tylne, wreszcie padł na ziemię martwy. Kula przeszła mu przez drugie oko aż do mózgu.

Młody Apacz odwrócił się, chcąc zobaczyć, kto strzelił, Bawole Czoło ładował już strzelbę ponownie, zgodnie ze zwyczajem myśliwskim.

— Czy bratu memu smakuje bardziej mięso bawołu od mięsa bawolicy? — zapytał ze spokojem. — Czy brat mój woli zabijać bawołu w lesie niż na otwartej prerii? Niech brat na przyszłość czyni to, co mu rozum dyktuje.

Mimo ciemnej skóry Indianina widać było wyraźnie, że twarz mu oblał rumieniec. Opanował się jednak i odpowiedział pytaniem:

— Co tobie do tego, gdyby nawet bawół mnie zabił?

— Czy brat mój nie ma ojca, który by po nim płakał?

— Ojcem moim jest Latający Koń — powiedział z dumą Indianin.

— A jak brzmi twoje imię?

— Imię moje będzie znane i wymawiać je będą we wszystkich górach i wszystkich dolinach.

— A więc nie masz jeszcze imienia? Umarłbyś tedy tutaj i nie wiedziałby nikt, kogo pochowano. Mój młody brat uniknął wielkiej hańby. Jeśli okaże się na przyszłość ostrożniejszy, będzie kiedyś nosił sławne imię.

Zgodnie z tradycją Apaczów młody wojownik otrzymuje imię dopiero wtedy, gdy dokona bohaterskiego czynu. Jeśli umrze wcześniej jako bezimienny, śmierć taka jest uważana za poniżającą. Dlatego Apacz już nie panując nad sobą, wyciągnął sztylet i zawołał:

— Czy mam cię oskalpować i otrzymać w ten sposób imię?

Bawole Czoło uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Zanim dotknąłbyś mojej głowy, oskalpowałbym cię dziesięć razy.

— Spróbuj!

Chwycił wodza Miksteków za barki i zamierzył się, by go uderzyć, Bawole Czoło błyskawicznie i z taką siłą ścisnął jego rękę trzymającą sztylet, że chłopak krzyknął z bólu i wypuścił broń.

— Od kiedy to Apacze krzyczą z bólu? — spytał wódz Miksteków. — Od kiedy Apacz zabija tego, kto mu uratował życie? Miałbym teraz prawo oskalpować cię, ale nie zrobię tego, ponieważ nadchodzi ktoś godniejszy, aby z nim stanąć do walki.

Wskazał na przeciwległy brzeg wąwozu. Pojawił się tam niedźwiedź.

Nie był to mały brunatny niedźwiadek, ale olbrzymi szary niedźwiedź górski, zwany w Ameryce

grizzly. Zwierzęta te bywają do trzech metrów wysokie i potrafią porwać najmocniejszego wołu. Kto powali takiego niedźwiedzia, uchodzi za bohatera równego posiadaczowi dziesięciu skalpów. Niedźwiedź wyszedł z lasu zapewne dlatego, że zwietrzył konia. Widząc teraz jednak przed sobą ludzi, zwrócił się ku nim.

— O, gdybym miał przy sobie strzelbę mego ojca! — zawołał Indianin. Nie miał jej, Apacz bowiem otrzymuje strzelbę dopiero wtedy, gdy mu nadadzą imię.

— Oto moja strzelba — rzekł Bawole Czoło. Młodzieniec spojrział na niego ze zdumieniem. Jak można rezygnować z takiego łupu? Gdy się jednak zorientował, że nieznajomy nie kpi z niego, chwycił broń i pobiegł prosto na niedźwiedzia. Jeszcze szybszy od niego był Bawole Czoło. Zaszedł niedźwiedzia od tyłu. Wyciągnął nóż, na wszelki wypadek, gdyby się chłopcu nie powiodło.

Niedźwiedź przyglądał się Apaczowi — dzieliło ich zaledwie kilka kroków. Nagle podniósł się na tylnych łapach. W tym samym momencie myśliwy przyłożył strzelbę do ramienia. Wycelował prosto w serce, nacisnął spust, a gdy padł strzał, uskoczył w bok, szykując się do drugiego. Grizzly postąpił jeszcze kilka kroków naprzód, potem zatrzymał się i zaryczał chrapliwie. Krew zaczęła mu obficie wypływać z pyska i po chwili zwałił się na ziemię.

— Doskonale! — krzyknął Bawole Czoło. — Trafiłeś go w samo serce! Brat mój ma pewny wzrok i mocną rękę. Będzie więc kiedyś dzielnym wojownikiem. Otrzymał teraz prawo do imienia; będę jego przyjacielem tak długo, dopóki wielki Manitu pozostawi mnie przy życiu.

— Czy zabiłem go naprawdę? — zapytał Apacz z niedowierzaniem.

— Tak. Jako dowód zwycięstwa brat mój może zabrać skórę, a łeb na pamiątkę pierwszego bohaterskiego czynu, którego dokonał.

Indianin nie posiadał się z radości. Oddał strzelbę Bawolemu Czołu, ukląkł przed niedźwiedziem, który nie dawał już znaku życia i zabrał się do ściągania skóry.

Mokashi-tayiss naładowawszy strzelbę, pośpieszył do konia ukrytego w pobliżu. Odwiązał go i odjechał. Nie chciał przeszkadzać Apaczowi. Gdy przybył na skraj prerii, słońce już zachodziło. Apacze wracali z polowania, wlokąc za końmi zabite bawoły. Miksteka nie zamierzał się ukrywać. Skierował się wprost ku namiotom, przy których zebrało się nad łupami kilkuset wojowników, i zeskoczył z konia.

Przed jednym z namiotów stał wódz z trzema orlimi piórami we włosach. Był to Niedźwiedzie Serce: Przystąpił do Bawolego Czoła i wyciągnął doń rękę.

— Serce moje tęskniło za tobą. Dziękuję Manitu, że cię znowu widzę. Bądź gościem mego namiotu i wypal fajkę z moimi braćmi.

Stojący wkoło wojownicy przypatrywali się z szacunkiem sławnemu wodzowi Miksteków. Utworzyli szpaler, przez który Niedźwiedzie Serce poprowadził przyjaciela do dwóch wodzów, siedzących przed namiotem Latającego Konia. Ci podnieśli się i podali mu rękę.

Wkrótce rozpalono ogniska i zaczęto piec olbrzymie poćcie mięsa. Gotowe do jedzenia rozwieszano na żerdziach ustawionych wokół miejsca, gdzie siedzieli trzej wodzowie wraz ze swym gościem. Światło ognisk rzucało blask na prerię. Od czasu do czasu przemykały w pobliżu wilki zwabione zapachem bawolej krwi. W obozowisku brakowało jednego Indianina, syna Latającego Konia. Choć wszyscy to zauważyli, nikt o tym nie mówił. Zgodnie z obyczajem Indian milczenie może przerwać najwyższy rangą wódz, wygłaszając przemówienie, dając nim sygnał do rozpoczęcia uczy.

Nagle wzrok wszystkich przyciągnęła niezwykła postać, która zbliżała się powoli. Był to nasz młody Apacz okryty skórą niedźwiedzia, która niby tren ciągnęła się za nim po ziemi, i z jego łbem na głowie. Zatrzymał się przy ognisku wodzów i złożył dwie łapy niedźwiedzia, które trzymał w rękach, przed Bawolim Czołem. Ten hołd zaskoczył wojowników. Domyślili się, że Bawole Czoło ma jakiś

związek z pokonanym niedźwiedziem, nikt jednak, nawet Latający Koń, nie odezwał się, tylko oczy starego wodza promieniały radością, że jego najmłodszy syn położył grizzly, postrach prerii.

Gdy kawały mięsiwa zabarwiły się na brunatno, Latający Koń wziął przygotowaną fajkę pokoju, wstał i przemówił:

— Dziś wielka radość spotkała wojowników Apaczów, gdyż Bawole Czoło, wielki wódz Miksteków, przyjaciel brata naszego Niedźwiedziego Serca przybył, aby wypalić z nami kalumet. Rękę ma mocną, nogę szybką, myśli rozumne, a wszystko, co czyni, czyni jak bohater. Niechaj będzie pozdrowiony!

Wódz położył na tytoniu żarzący się kawałek drewna, zaciągnął się sześć razy, wypuścił dym raz w kierunku nieba, raz w kierunku ziemi i cztery razy wokoło siebie, po czym podał fajkę gościowi.

— Synowie Apaczów są wielkimi i dzielnymi wojownikami — powiedział podniósłszy się Bawole Czoło. — Nawet ich dzieci bez zmrużenia oka od jednej kuli kładą trupem szarego niedźwiedzia.

Oczy wszystkich spoczęły na synu wodza. Nawet nie usiłował ukryć radości, że tyle dobrego zawdzięcza tak znakomitemu mężowi. Oczy zaś starego wodza zaszyły łzami: jego syn został przecież wyróżniony przez wybitnego wojownika i wodza, i to już w jego pierwszym oficjalnym przemówieniu.

Bawole Czoło ciągnął dalej:

— Wódz Miksteków przyszedł do Apaczów, aby im przynieść pewną wieść. Usłyszą ją później, gdy się ucza skończy. Wrogowie ich są jego wrogami, przyjaciele jego przyjaciółmi. Wódz Miksteków odda swe życie za każdego syna Apacza i będzie się cieszył, jeżeli sławę Miksteków połączy z ich sławą. Howgh.

Po tych słowach zaciągnął się aż sześć razy fajką pokoju, po czym podał Niedźwiedziemu Sercu. Ten, a po nim trzeci wódz, również jeden z synów Latającego Konia, poszli za jego przykładem. Teraz fajka zaczęła krążyć od wojownika do wojownika. Tylko najmłodszy syn wodza nie wypalił jej, nie miał bowiem imienia. Po tej ceremonii przystąpiono do uczy. Ogromne kawały mięsa znikwały w zadziwiająco szybkim tempie. Latający Koń oświadczył, że Bawole Czoło może mówić o swym posłannictwie.

— W Meksyku rozpoczęła się wielka walka — rozpoczął. — Wojownicy i mężowie nie są już zadowoleni z wodza, którego wybrali. Błada twarz nie czyni zadość temu, czego wymaga jego urząd. Obrali więc sobie innego wodza, Indianina Juareza. Silny jest jak bawół, chytry jak pantera i doświadczony we wszystkich sprawach, które powinien znać wódz. Wysłuchał głosu swego ludu i pragnie szczęścia dla swoich. Dlatego otoczył się walecznymi wojownikami i przeciąga przez kraj, aby zebrać wszystkich, którzy staną za nim. Przestraszył się więc dotychczasowy wódz i posłał wielu gońców do synów Komanczów, prosząc ich o pomoc. Wodzowie odbyli wielką naradę i obiecali mu pomoc. Teraz setki ich zmierzają do Meksyku. Chcą zająć teren pomiędzy tym krajem a pastwiskami Apaczów. Jeżeli im się to uda, wojownicy Apaczów będą odcięci od południa i zmuszeni iść w góry, gdzie czeka ich wielka niedola, zima bowiem za pasem. Nowy zaś wódz Meksyku kocha dzielnych wojowników Apaczów. Nie chce, aby te psy Komancze wyгнаły ich stąd. Wysłał więc mnie i polecił powiedzieć, że pragnie się z Apaczami połączyć, by przepędzić wroga. Jeżeli synowie Apaczów wyruszą zaraz i zajmą teren między pustynią Mapimi a miastem zwanym Chihuahua, Komancze nie będą mogli pójść dalej i zginą pośrodku pustyni. Jeżeli wojownicy Apaczów mnie posłuchają, zdobędą wielką liczbę skalpów i odniosą ogromne zwycięstwo.

Gdy skończył, usiadł.

Zebrani pogrążyli się w głębokim milczeniu. Wreszcie przerwał je Latający Koń:

— Dobrze brzmią słowa naszego brata. Nowy wódz Juarez należy do rasy czerwonych, dlatego jest nam miłszy niż białe twarze. Synowie Apaczów nie pozwolą na to, aby ich wypędzili tchórzliwi Komancze. Latający Koń prosi, by pozostali dwaj wodzowie zabrali głos.

Wstał więc Niedźwiedzie Serce i rzekł:

— Oto stoję przed bratem moim Bawolim Czołem. Sławny to wojownik, nie ulęknie się żadnego wroga. W ustach jego mieszkają tylko słowa prawdy. Nigdy nie powie i nie zażąda niczego, co mogłoby przynieść szkodę synom i córkom Apaczów. Zabijałem z nim razem Komanczów i jeszcze niejednego z nich u boku Bawolego Czoła oskalpuję. Komancze są już w drodze, nie można więc tracić czasu. Zebrały się tu trzy szczepy Apaczów, aby przygotować mięso na zimę. Jestem przywódcą walecznego szczepu Jicarilla. Wyruszę natychmiast ze swoimi ludźmi, jeżeli pozostałe dwa szczepy przyrzekną, że po przygotowaniu dla nas zapasów mięsa na zimę pośpieszą za nami.

Po nim zabrał głos trzeci wódz, syn starego:

— Brat mój Niedźwiedzie Serce powiedział prawdę. Wojownicy Apaczów nie mogą stracić ani chwili czasu. Jeden ze szczepów musi wyruszyć jak najszybciej. Rada niech rozstrzygnie, czy ma to uczynić szczep jego czy też mój.

Tak więc trzech wodzowie byli zgodni. Należało teraz zapytać o radę czarownika. Miał on przy sobie wszystkie swe insygnia: dziwnie wykrojone skalpy, torebki, warkocze, sztabki i chorągiewki. Okrył się skórą jednego z zabitych bawołów i rozpoczął taniec — dziwny i potworny zarazem. W blasku ognisk kładły się, to poruszały niesamowite cienie.

Indianie przyglądali się w skupieniu, cierpliwie, choć taniec trwał dość długo. Wreszcie czarownik zatrzymał się, wziął do ręki dwa płonące łuczywa i zaczął śledzić kierunek dymu. Potem rzucił badawcze spojrzenie ku gwiazdom i obwieścił donośnym głosem:

— Manitu, Wielki Duch, gniewa się na krety, które się zowią Komanczami, Wydaje ich w ręce Apaczów i rozkazuje, by wojownicy szczepu Jicarilla ruszyli w drogę, skoro tylko słońce podniesie się po raz drugi. Pozostałe szczepy mają pójść w ich ślady, gdy tylko wysuszy się mięso przeznaczone na zimę.

Wojownicy Niedźwiedziego Serca nie posiadali się z radości. Mieli dwa dni na poczynienie przygotowań do wyprawy. Byli z tego wielce zadowoleni, gdyż, jak wierzą Indianie, przygotowania te, wśród których szczególnie ważne jest malowanie się, są niezbędne dla pomyślnego wyniku wyprawy. Co do szczegółów porozumiano się szybko. Wszyscy gorąco pragnęli ściągnąć Komanczom jak najwięcej skalpów.

Latający Koń mógł wreszcie pomyśleć o nagrodzie dla najmłodszego syna. Chłopiec stał dotychczas bez ruchu, nie odzywając się. Ojciec zapytał:

— Syn mój ubrał się w skórę niedźwiedzia. Czy ma prawo do tego?

— Zabiłem go — wyjaśnił młodzieniec.

— Sam?

— Sam jeden.

— Jaką bronią?

— Zabiłem go ze strzelby, którą pożyczył mi sławny wódz Miksteków. On też jest świadkiem.

Stary zwrócił się do Bawolego Czoła:

— Wódz Miksteków jest świadkiem walki z niedźwiedziem, dowodzą tego leżące przed nim łapy zwierza. Niechaj nam opowie, co widział.

Bawole Czoło opisał w krótkich słowach zdarzenie, unikając wszystkiego, co młodzieńcowi mogłoby przynieść ujmę. Gdy skończył, podniósł się Niedźwiedzie Serce i rzekł:

— Syn Latającego Konia położył niedźwiedzia grizzly za pierwszym strzałem. To więcej, aniżeli

zabić dwudziestu tchórzliwych synów Komanczów. Serce jego jest mocne, rękę ma silną i oko pewne. Zasługuje, aby go przyjąć w poczet wojowników. Niedźwiedzie Serce pragnie, by jego młody brat otrzymał imię.

Słowa te uradowały i ojca, i syna. Jako zainteresowani, nie mieli prawa do postawienia wniosku. Wystąpienie Niedźwiedziego Serca spotkało się z ogólnym zadowoleniem. Pogromca niedźwiedzia stał wyprostowany przy ognisku. Oczy jego błyszczały dumą i radością, gdy mówił:

— Brat mój Niedźwiedzie Serce jest najślawniejszy ze sławnych. Słowom jego zawdzięczam imię. Kiedy będziemy obchodzić święto nadania?

— Gdy tylko synowie Apaczów powrócą do swych wigwamów — wyjaśnił stary.

— Czy ten, który nie ma jeszcze imienia, ma prawo wyruszyć przeciw tym psom Komanczom?

— Nie.

— Chciałbym jednak pojechać do Meksyku wraz z moim przyjacielem Niedźwiedzim Sercem; niechaj mi więc jutro nadadzą imię.

— Takiego zwyczaju nie ma. Łapy niedźwiedzia należą jednak do wodza Miksteków, który jest naszym gościem, niech on rozstrzygnie.

Rzekł na to Bawole Czoło:

— Mój młody przyjaciel pokonał grizzly, niechaj się zwie Shosh-seste, Pogromca Grizzly. Nadam mu jutro to imię i jeżeli pozwoli mój brat Latający Koń, niech Pogromca Grizzly jedzie z nami do Meksyku, aby zedrzeć kalpy z Komanczów tak samo, jak zdarł skórę z niedźwiedzia.

Propozycja znakomitego wodza znowu była dużym wyróżnieniem dla młodego Apacza, przyjęto ją też natychmiast.

Narada zakończyła się. Mężowie długo jeszcze siedzieli razem i spokojnie omawiali wyprawę. Mimo panujących ciemności niektórzy udali się do wąwozu po bawołu, zabitego przez Mikstekę, i po niedźwiedzia, z którego młodzieniec ściągnął skórę.

W końcu nastąpiła zupełna cisza. Bawole Czoło położył się spać w namiocie Niedźwiedziego Serca. Obozu pilnowały straże, zmieniające się co godzina.

Następnego ranka odbyła się uroczystość nadania imienia. Główną rolę odegrały w niej pieczone łapy niedźwiedzia. Pogromca Grizzly otrzymał najlepszą strzelbę ojca. Jako synowi wodza pozwolono mu zatknąć we włosach orle pióro.

Po południu rozpoczęło się malowanie, dwustu bowiem wojowników miało wyruszyć o świcie. Sporo pracy kosztowało ich ozdabianie ubiorów i broni wizerunkami dotychczasowych zwycięstw.

Kiedy opuszczali dolinę, odprowadzali ich towarzysze pozostający w obozie. Gdy wojownicy zostali sami, utworzyli szyk indiański. Najstarszy wojownik objął komendę. Bawole Czoło, Niedźwiedzie Serce i Pogromca Grizzly ruszyli w pełnym galopie, by zbadać okolicę. Oni trzej tworzyli przednią straż.

Ponieważ nie można było jechać przez otwartą prerię, oddział dostał się na płaskowzgórze przez góry. Tu musieli odpocząć. Dopiero na piąty dzień dotarli do Mapimi. Znaleźli się opodal miejsca, które przekroczył Verdoja, podążając w kierunku północnym. Musieli rozłożyć się na wzgórzach między Chihuahua a pustynią. Dlatego nasza trójka śpieszyła na południe, coraz bardziej zagłębiając się w pustynię. Nagie wszyscy trzej zatrzymali konie, gdyż prostopadle do kierunku swej drogi natrafili na ślady.

— Jeźdźcy! — krzyknął Pogromca Grizzly, zeskakując z konia.

— Niech brat mój policzy, ilu ich było — powiedział Niedźwiedzie Serce, nie schodząc z siodła. Chciał ćwiczyć orientację młodego Apacza.

Pogromca Grizzly obejrzał ślady.

- Było piętnaście koni.
- Słusznie. Kto na nich siedział?
- Blade twarze.
- Z czego to mój brat wnioskuje?
- Nie jechali jeden za drugim. Ślad pozostawili tak szeroki, że można policzyć kopyta.
- Kiedy tędy przejeżdżali? Młody Apacz schylił się powtórnie.
- Słońce już wkrótce zajdzie, jechali tędy, gdy wczoraj było południe.
- Czy bladym twarzom śpieszyło się bardzo?
- O tak, piasek jest rozrzucony kopytami. Pędzili galopem.
- Brat mój dobrze czyta ze śladów. Niech mi jeszcze powie, czy pokojowo byli usposobieni ci ludzie czy nie?

Pogromca Grizzly spojrzał na wodza bezradnie i potrząsnąwszy głową, rzekł po namyśle:

- Kto to pozna po śladach?

— Udowodnię memu bratu, że można to określić. Pustynia Mapimi rozciąga się tutaj na szerokość, jaką przebyć można w ciągu czterech dni. Kto jechał przeszło trzy dni, ten ma konie zmęczone i oszczędza ich sił. Tropy koni nie są lekkie jak przy galopie, lecz bardzo głębokie> odległość zaś między poszczególnymi skokami jest krótka. Konie były zmęczone, nie oszczędzono ich. Stąd. wniosek, że jeźdźcy uciekali.

Pogromca Grizzly broniąc swego stanowiska powiedział:

- Ten, kto ściga drugiego, jedzie równie prędko.

— Gdyby ścigali wroga, jechaliby po jego śladach. Tymczasem tak nie jest, nie ma wcześniejszych śladów, uciekali więc przed kimś, kto ich goni.

Bawole Czoło rzucił okiem na ślady i skinął głową:

— Niedźwiedzie Serce ma słuszość. Ścigający zapewne wkrótce tu będą. Nie możemy im się jednak pokazać. Niech więc Pogromca Grizzly wróci i powie wojownikom Apaczów, by nie zapuszczali się za nami. Niech przeprawią się przez wzgórza położone dalej na północ i tam czekają na mnie i na Niedźwiedzie Serce. Będziemy się starali wybadać, co znaczą te ślady.

Młody Apacz usłuchał polecenia. Dosiadł konia i pocwałował.

Bawole Czoło i Niedźwiedzie Serce ruszyli po śladach.

- Prowadzą na zachód — rzekł Bawole Czoło.

- Tak, ku przełęcz. To niebezpieczne miejsce.

- A może ścigani zastawili pułapkę? Trzeba to sprawdzić.

— Ale musimy zatrzeć nasze ślady, ścigający mogą być przecież naszymi wrogami. Niechaj mi brat mój dopomoże!

Z wielką zręcznością zacierali ślady koni i swoje własne. Dokonawszy tego na sporej przestrzeni, dosiedli koni i zatoczywszy koło, dotarli do gór leżących nad zachodnią granicą Mapimi, o jakąś milę angielską na północ od miejsca, w którym przełęcz przecina wzgórze. Mimo że stok był tu niezwykle stromy, przebyli na koniach skaliste brzegi porośnięte krzakami, po czym zatrzymali wierzchowce w dolince. Wdrapali się teraz po ostrym grzbiecie na szczyt wzgórza, z którego widać było sporą przełęcz gdzie po raz ostatni obozował Verdoja. Na południe od niej ciągnął się mały wąwóz. Czadowali w nim Meksykianie, którzy mieli schwytać lub zabić Sternaua. O tym wszakże Indianie nie mieli pojęcia. Dokładnie obejrzeliby okolicę. Z dołu nie można ich było dostrzec, oni natomiast bystrym wzrokiem ogarniali to wszystko, co działo się na dole. — Uff! — rzekł nagle Niedźwiedzie Serce. Dźwięk ten znaczył, że zauważył coś niezwykłego. Bawole Czoło spojrzał na Niedźwiedzie Serce, po czym popatrzył za jego wzrokiem. Ujrzał człowieka czołgającego się z

dolinki w górę. Odległość była tak duża, że wyglądał jak chrabąszcz. Jednakże obaj Indianie poznali, że to Meksykanin.

— Zdaje mi się — powiedział Niedźwiedzie Serce — że obsadzają dolinę.

— Chyba przygotowują zasadzkę.

Indianie czekali. Meksykanin wdrapał się na wzgórze i stanąwszy na szczycie, wypatrywał czegoś od wschodu. Po kilku minutach Bawole Czoło zawołał:

— Uff! Zbliżają się!

— Trzej jeźdźcy — dodał Niedźwiedzie Serce.

Byli tak daleko, że mogły ich dojrzeć tylko dwie pary takich oczu, jakie mieli Indianie. Meksykanin, stojący po drugiej stronie przełęczy, nie zauważył jeszcze tych trzech maleńkich punktów.

— Czyżby to był pościg?

— Raczej nie — zaprzeczył Bawole Czoło. — Przecież piętnastu wojowników nie uciekałoby przed trzema.

— Dlaczego nie, jeśli tamci trzej są waleczni? Zresztą może to przednia straż większego oddziału.

— Trzeba poczekać.

W dalszym ciągu obserwowali z wielką uwagą człowieka stojącego na wzgórzu. Wydał teraz jakiś okrzyk i szedł na dół bardzo się śpiesząc. Widocznie i on zauważył zbliżającą się trójkę.

— Zawiadamia tych, którzy się ukryli — powiedział Niedźwiedzie Serce.

Tak było istotnie. Meksykanin zaledwie zniknął w dolinie, wychynął z niej w towarzystwie dwóch innych. Teraz wszyscy schowali się za skałą.

— Pozabijają ścigających — zaniepokoił się Niedźwiedzie Serce.

— Dlaczego jest ich tylko trzech, jeżeli znaleźliśmy ślady piętnastu?

— Reszta pojechała dalej. Wystarczy przecież trzech tchórzy, aby z zasadzki wymordować trzech dzielnych ludzi.

— Czy ostrzeżemy tych, którym grozi niebezpieczeństwo?

— Nie tylko ostrzeżemy, ale udzielimy im pomocy, jeżeli są jej warci. Nie mamy czasu. Musimy działać natychmiast. Trzeba napastników zająć od tyłu. Naprzód!

Niedźwiedzie Serce zsunął się ze skały, za nim podążył Bawole Czoło. Gdy już nikt nie mógł ich dojrzeć z góry, pobiegli wzdłuż zbocza, aż dotarli do zarośli, które porastały wzgórze do przełęczy. Pod ich osłoną zeszli na dół. Od Meksykanów dzieliła ich odległość tak znaczna, że ci widzieć ich nie mogli. Przebiegli przez dolinę i znaleźli się po tej samej stronie, gdzie w ukryciu leżeli czatujący. Należało teraz zbliżyć się do nich niepostrzeżenie. Na szczęście zasłaniały ich zarośla i porozrzucane tu i ówdzie skaliste głazy. Dzięki temu dotarli do kamienia odległego o pięćdziesiąt kroków od skały, za którą czyhali Meksykanie, i ukryli się za nim. Mieli widok na całą dolinę. Przykucnęli za kamieniem, trzymając w pogotowiu strzel by. Wkrótce usłyszeli tętent koni. Po chwili u wejścia do doliny zjawili się trzech jeźdźców. Byli jeszcze daleko, kula nie mogła ich osiągnąć.

Kiedy się zbliżyli, wodzowie zdumieli się bardzo.

— Uff! — sapnął Niedźwiedzie Serce. — To Itinti-ka, Piorunowy Grot, nasz brat. Był przecież chory!

— Przy nim zaś jedzie vaquero Francisco. Co oni tu robią? Czyżby na hacjendzie del Erina wydarzyło się jakieś nieszczęście?

— Trzeba zaczekać. Ale cóż to za potężny wojownik jest razem z nimi? Uff, to brat mój, Matavase! Skąd on się tu wziął?!

— Bawole Czoło poznał go w hacjendzie del Erina.

— Uff! Zabijemy tych trzech Meksykanów.

— Przekonajmy się naprzód, jakie mają zamiary. Zastrzelimy ich tylko wtedy, jeżeli chwycą za broń.

Meksykanie leżeli obok skały i szeptali między sobą. Oczekiwali jedynie Sternaua i to nie teraz, a dopiero jutro. Tymczasem przybywał nie sam, lecz w towarzystwie dwóch innych, zupełnie nie znanych im ludzi.

— Prawdopodobnie przyłączyli się do niego po drodze — rzekł Meksykanin do swych towarzyszy. — Co robimy? Jest ich tylko trzech.

— Phi! — zaśmiał się drugi. — Schwycić go nie możemy, trzeba mu posłać kulę.

— A co będzie z jego towarzyszami? Czy pozwolimy im uciec?

— Skądże znowu! Nikt nie może się dowiedzieć, co tu się stało. Gdy zbliżą się na odległość naszych strzałów, położymy wszystkich. Muszą paść od pierwszych kul, inaczej źle może być z nami. Ten Sternau to przecież istny diabeł. Zresztą, będziemy mieć chyba dosyć czasu, by do nich wycelować. Jeżeli znajdą ślady naszego obozu, będą je badać skrupulatnie. I wtedy właśnie, nie spiesząc się, wymierzmy do nich dokładnie.

— Gdyby wrócili nasi towarzysze, których miał odesłać Verdoja, moglibyśmy wszystkich schwycić — rzekł trzeci.

— Poradzimy sobie bez nich.

Meksykanie nie przeczuwali, że o kilka kroków od nich czuwa dwóch innych mężów, śledzących każdy ich ruch.

Tymczasem Sternau i jego dwaj towarzysze jechali naprzód. Sternau popuścił wodze i badawczo obserwował dolinę. Mierzył odległość między poszczególnymi stokami górskimi.

— Niebezpieczna dziura — powiedział. — Jeżeli Ver-doja nie urządził tu na nas zasadzki, wart jest stu bizonów. Będziemy teraz powoli posuwać się i udawać, że wcale nie rozglądamy się dokoła. Ale przez cały czas trzeba mieć oczy szeroko otwarte.

Przybyli na miejsce, gdzie obozował niedawno Verdoja.

— Tu wypoczywały te łotry — zauważył Francisco. Sternau rozejrzał się dokoła.

— Zsiadajcie prędko z koni — polecił. — Przywiążcie je i udawajcie, że chcemy rozbić obóz. Prędko, prędko!

Piorunowy Grot spojrzał w tę samą stronę, co Sternau i błyskawicznie zeskoczył z konia.

— Teraz musimy znaleźć kryjówkę.

— Tu, na prawo, przy ścianie, przy tym skalistym kamieniu — wskazał Sternau. — Koni nam nie pozabijają. Będziemy udawać, że szukamy drewna na ognisko, potem schowamy się za skałę.

Konie puścili wolno i zaczęli zbierać drobne gałęzie.

— Patrzcie — rzekł jeden z Meksykanów — pozostaną tutaj. Zabijemy ich z łatwością.

— Co to znaczy? — zaniepokoił się drugi. — Ukrywają się za skałą! Widocznie trafili na nasze ślady.

— Skądże znowu! Nie mogli ich zobaczyć, przecież nie zajrzeli nawet do dolinki.

— W każdym razie oni tak, jak my mają się na baczności.

W rzeczywistości Sternau był przekonany, że zastawiono na nich zasadzkę. Przy wejściu do doliny zauważył złamaną gałąź jakiegoś krzewu. Meksykanin, który był na górze i obserwował stamtąd dolinę, schodząc oparł się na tej gałęzi i ułamał ją. Kora pękła, została więc jasna smuga, co nie uszło uwagi wytrawnego westmana. Piorunowy Grot spostrzegł to również. Wszyscy trzej leżeli teraz bezpiecznie za skałą.

— Co się stało? — zapytał Francisco, który nic nie pojmował z tej zabawy w chowanego.

— Czy widzisz ułamaną gałąź tu na krzaku? — zapytał Piorunowy Grot.

— Ach tak, widzę!

— A nad nią ślady wśród kamieni?

— Tak.

— Oto dowód, że niedawno był tam ktoś na górze. Gdy nas zauważył, nie zbiegł po kamieniach, ale się zsunął i stąd ślady. Tam naprzeciw są ludzie, którzy na nas czatują.

— Diabli nadali! — zaklął Francisco.

— Nie obawiaj się — pocieszył go z uśmiechem Sternau. — Jest ich najwyżej dwóch, może trzech.

— Dlaczego tak mało? — spytał Piorunowy Grot.

— Czy sądzicie — ciągnął Sternau — że Verdoja zasadził się tu na nas z całą swoją szajką? Nie! Musi przecież ukryć jeńców. Jest ich czworo, a zbirów dziewięciu, najwyżej więc odesłał trzech. Ponieważ był przekonany, że sam tu przybędę, mógł nawet sądzić, że jeden człowiek wystarczy, by mi posłać kulkę. Ta zasadzka jest na odległość strzału. Trzeba wszystkiemu przyjrzeć się dokładnie.

Byстрыm wzrokiem obrzucił każdy krzak i kamień.

— Już mam! — zawołał nagle.

— Gdzie?

— Przed chwilą dostrzegłem za tą wysoką czworokątną skałą czyjeś kolano. Może pošlemy tam kulkę?

— Nie trafi pan — zasmucił się vaquero.

— Zobaczymy.

Sternau rozciągnął się na ziemi. Kamień, za którym byli ukryci, miał niewielki otwór, mógł więc przezeń celować bez obawy, że go ktoś zobaczy. Sternau zwrócił się do Piorunowego Grota:

— Jeśli senior założy swój kapelusz na lufę i jeśli podniesie ją pan tak wysoko, by się zdawało, że ktoś wychyla się zza kamienia, z pewnością któryś z tamtych strzeli do kapelusza. Aby to zrobić, będzie musiał choć trochę się odsłonić, a wtedy już po nim!

— Spróbujmy więc — uśmiechnął się Piorunowy Grot. Obaj wodzowie obserwowali wszystko uważnie.

Strzelby trzymali w pogotowiu, aby w odpowiedniej chwili pociągnąć za cyngiel.

— Teraz strzały ich mogą już dosięgnąć wrogów — lakonicznie zauważył Niedźwiedzie Serce. — Schodzą w dół. Władca Skał ogląda się. Zauważył coś podejrzanego.

Bawole Czoło skinął głową.

— Wie, że śmierć tu czyha. Daje tamtym wskazówki.

— Uff! — szepnął Bawole Czoło. — Skaczą za kamień. Ocaleni i bez naszej pomocy. Co teraz zrobią?

Minęła chwila. Zza kamienia ukazał się kapelusz.

— Co to za nieostrożność! — westchnął Bawole Czoło.

— Czy brat mój uważa Władcę Skał za głupca? — zachnął się Niedźwiedzie Serce. — Trzeba zaczekać.

Niedługo czekali. Jeden z Meksykanów po krótkiej naradzie z towarzyszami chwycił karabin, oparł go o brzeg skały, wychylił nieco głowę i zaczął celować w kierunku kapelusza. Nie zdążył jeszcze pociągnąć za cyngiel, gdy rozległ się strzał i Meksykanin padł na ziemię z przestreloną głową. — Czy brat mój rozumie teraz, że to był podstęp? — zapytał Niedźwiedzie Serce.

— Władca Skał jest naprawdę doskonałym strzelcem — odparł Bawole Czoło.

— Z łatwością mógłby zabić i tamtych dwóch, ale chyba nie ma potrzeby. Czy pokażemy się im teraz?

— Dobrze — skinął głową Miksteka. Meksykanie tak byli przejęci śmiercią kolegi, że nie zwracali uwagi na to, co się dzieje za nimi. Obaj wodzowie spokojnie więc wstali i dali znak Sternauowi i jego towarzyszom.

— Do diabła, kto to? — zdziwił się Piorunowy Grot.

— Ależ to Bawole Czoło — ucieszył się Sternau.

— A ten Indianin obok niego czy to nie Niedźwiedzie Serce? Co za spotkanie! A więc wrogowie wzięci są w dwa ognie. Kto mógł przypuszczać, że obaj wodzowie są w pobliżu!

— Pozabijają tych Meksykanów, możemy się spokojnie przyglądać — Francisco był uradowany.

— Wolałbym — powiedział Sternau — schwytać ich żywych. Poczekajcie... Nie sądzę, aby rozumieli język Apaczów. Jeżeli więc odezwę się do wodzów, nie będą mieli pojęcia, do kogo się zwracam i co mówię.

— Dobry pomysł — poparł go Piorunowy Grot. Minęło kilka chwil. Sternau zawołał donośnym głosem:

— Tenilsuk nagongo akajia? Ilu nieprzyjaciół jest po tamtej stronie?

Nad kryjówką wodzów ukazały się dwie ręce. — A więc tylko dwóch. Miałem rację — Sternau był zadowolony. Zawołał znowu:

— Shi ankhuan to tasta ta, shi ankhuan hotli intahinta! Nie chcę ich zabijać, chcę ich wzięć żywych!

— Co oni tam krzyczą? — zdenerwowali się Meksykanie. — Jeżeli drwią z nas, dlaczego nie mówią po hiszpańsku? Jesteśmy w przeklętej matni. Gdy tylko nos wychylimy, będą strzelać. Musimy więc siedzieć tutaj aż do nocy albo nawet dłużej, dopóki nasi nie wrócą.

Wodzowie doskonale zrozumieli, o co chodzi Sternauowi. Odłożyli strzelby, wzięli noże w zęby i zaczęli cicho podkradać się do zbójów. Sternau to spostrzegł. Chcąc uwagę Meksykanów ściągnąć na siebie, wyszedł zza skały, przyłożył strzelbę do ramienia i zaczął celować. Manewr się udał.

— Patrz, patrz! Ten drań wstał! — jeden z Meksykanów wychylił się ostrożnie zza skały. — Zabiję go.

Ujął strzelbę, ale w tym momencie ktoś chwycił go za gardło i ścisnął tak mocno, że nie mógł oddychać. To samo spotkało jego towarzysza.

— Już po wszystkim! — zawołał Sternau. — Może jednak się przydamy!

Pobiegli przez dolinę. Pomoc okazała się zbyteczna. Wodzowie już wiązali nieprzytomnych jeńców.

— Bawole Czoło, wódz Miksteków, po raz drugi ocala mi życie — powiedział Sternau, wyciągając doń rękę.

— Matava-se obronił się sam — odparł wódz skromnie.

Sternau podał z kolei rękę Niedźwiedziemu Sercu. — Lata minęły od chwili, w której po raz ostatni widziałem wodza Apaczów. Witam go z wielką radością. — Niedźwiedzie Serce cieszy się również, że brata swego znowu ogląda. Czekał na to spotkanie wiele wiosen.

Piorunowy Grot pokrótce opowiedział wodzowi Apaczów, w jaki sposób wyleczył go Sternau. Usiedli z dala od Meksykanów, aby nie słyszeli ich rozmowy.

— Co też przywiodło naszych przyjaciół na pustynię? — zapytał Bawole Czoło.

— Zdarzenie bardzo smutne — odpowiedział Sternau.

— Napadnięto na hacjendę del Erina.

— Kto się ośmielił? Meksykanie?

— Tak. Te łotry porwały cztery osoby: seniora Mariana, seniora Ungera, senioritę Emmę i senioritę Karię.

— Karię, moją siostrę? — zawołał Bawole Czoło.

— Karię, kwiat Miksteków? — Niedźwiedzie Serce nie ukrywał wzburzenia. — W jaki sposób to się stało? Czy nie było tam mężów?

— Byli, ale...

— Nie, to nie mogli być mężowie, jeśli pozwolili uprowadzić czworo mieszkańców hacjendy.

— Niech się brat mój dowie, że również byłem schwytany — przyznał się otwarcie Sternau.

— Władca Skał był schwytany? — Niedźwiedzie Serce nie wierzył własnym uszom. — Przecież widzę go tutaj.

— Uwolniłem się. Niechaj wodzowie posłuchają, co i jak się stało.

Opowiedział przebieg ostatnich dni. Gdy skończył, Apacz podał mu rękę i rzekł.

— Niechaj mój brat mi wybaczy. Nawet najsilniejszego i najdzielniejszego człowieka można wśród ciemnej nocy podejść zniemacka i obezwładnić. Ukryjmy teraz nasze konie, bo nie można przewidzieć, kto tu jeszcze się zjawi.

Zaprowadzono konie do sąsiedniej doliny. Pasły się w niej ukryte za krzakami trzy wierzchowce Meksykanów.

Jeńcy wrócili już do przytomności. Zaprowadzono ich również do doliny. Francisco został na warcie, pozostali zaś wzięli udział w przesłuchaniu, któremu Sternau poddał jeńców.

— Należycie do oddziału eks-rotmistrza? Nie było odpowiedzi.

— Widziałem was przy nim. Ani milczenie, ani wykręty nie pomogą. Uporem pogrążacie się. Dlaczego zostaliście tutaj?

— Tak rozkazał Verdoja.

— W jakim celu?

— By pana schwytać lub zabić.

— Tak właśnie sądziłem. Mielicie odwagę nastawać na moje życie? Przecież poznaliście mnie już i powinniście wiedzieć, że kuła może mnie dosięgnąć, ale schwytać nie dałbym się tak łatwo.

— Byliśmy pewni, że dotrze tu senior dopiero jutro. Do tego czasu Verdoja miał przysłać pomoc.

— Ach tak, więc jeszcze ktoś ma tutaj przybyć? Kiedy?

— Prawdopodobnie jutro rano.

— Ilu?

— Tego nie wiemy.

— Dokąd Verdoja zaprowadził jeńców?

— I tego nie wiemy.

— Nie kłam!

— Czy sądzi pan, że Verdoja zdradza nam takie tajemnice?!

— Może masz i rację. Ale ci, którzy będą tu jutro, powinni to wiedzieć. Gdzie się mieli z wami spotkać?

— Tutaj, w dolinie.

— Ile wam obiecał Verdoja za porwanie?

— Każdemu po sto pesos.

— Już nie mam więcej pytań. Teraz zastanowimy się nad waszym losem.

Narada wypadła dla jeńców niepomyślnie. Sternau i Piorunowy Grot byliby im darowali życie, ale wodzowie nie chcieli się na to zgodzić, a Francisco podzielał ich zdanie.

Odprawiono Meksykanów w głąb doliny. Sternau i Unger pozostali na miejscu. Po chwili

usłyszeli odgłos dwóch strzałów. Obok ciała zabitych położono jeszcze zwłoki ich towarzysza, który zginął z ręki Sternaua. Nie było czasu na pochówek, pozostawiono więc trupy sępom na pożarcie. Wkrótce zleciały się zewsząd.

Można teraz było pomówić o sprawie, która sprowadziła do Mapimi Apaczów. Sternau wiedział tylko tyle, że jakiś porucznik rozłożył się ze szwadronem kawalerzystów Juareza w Monclovie i że Verdoja miał jeszcze przy sobie pięciu Meksykanów. Nie było więc powodu do obaw, nawet gdyby ludzie rotmistrza wrócili nazajutrz. Postanowiono, że Niedźwiedzie Serce powróci czym prędzej do Apaczów, a Bawole Czoło pozostanie w zasadzce. Spotkanie ustalono po drugiej stronie gór. Niedźwiedzie Serce, wyprowadziwszy z ukrycia swego konia, pożegnał się i odjechał.

Po południu i w nocy panował w dolinie spokój. Rankiem również nic się nie wydarzyło. Dopiero około południa rozległ się tętent koni. Sternau wyznaczył towarzyszom stanowiska za skalnymi głazami i polecił strzelać przede wszystkim do koni.

W miejscu, gdzie dolina przechodziła w wąską przełęcz, pojawiło się czterech Meksykanów. Osadzili wierzchowce i zaczęli rozglądać się po dolinie. Nie widząc ani jednego ze swych towarzyszy, skręcili w sąsiednią dolinkę. I wtedy huknęły strzały. Konie stanęły dęba i padły na ziemię. Strzały były celne: zwierzęta nie mogły się podnieść. Ludzie Sternaua skorzystali z tego. Dostarczyli do Meksykanów, powalili ich uderzeniami kolb i skrępowali lassami. Opryszkom przewodził ten sam, który przed porwaniem pojawił się w hacjendzie del Erina jako rzekomy oficer kawalerii.

— Spotykamy się znowu, mój chłopcze, i mam nadzieję, że teraz wyrównamy nasz rachunek — rzekł do niego Sternau. — Sądzę, że nieprędko nadarzy ci się sposobność wdziać mundur oficera.

Pojmany popatrzył wzrokiem pełnym nienawiści.

— Jestem wolnym Meksykaninem, nie będę się przed nikim usprawiedliwiać.

— Wolny Meksykanin? Pierwszy raz słyszę o tym, by ktoś skrępowany więzami był wolny.

Dokąd powieźliście jeńców?

— To nie powinno was obchodzić.

— Powtarzam po raz ostatni: gdzie są jeńcy?

— Nie powiem!

Bawole Czoło wyciągnął nóż i grożąc nim fałszywemu oficerowi zapytał:

— Gdzie moja siostra Karia?

Jeniec milczał zuchwale, nie znał bowiem Indian. Wódz Miksteków zwrócił się jeszcze raz, nie podnosząc głosu:

— Odpowiadaj!

— Nic nie powiem.

— Więc giń! Milczenie jest udziałem zmarłych.

Po tych słowach Bawole Czoło szybkim ruchem przebił serce Meksykanina. Wyzionął ducha nawet nie jęknąwszy.

— Tak samo jak on umrą wszyscy! — zapowiedział wódz Miksteków.

Przyłożył nóż do piersi drugiego:

— Czy będziesz również milczał, czy też powiesz, gdzie ukryliście jeńców?

Zapytany namyślał się przez chwilę. Nie miał ochoty ginąć, a nie chciał zdradzić towarzyszy. Ta chwila namysłu przesądziła o jego losie. Bawole Czoło wbił nóż w jego serce i podszedł do trzeciego jeńca.

— Mów, psie, gdzie są jeńcy?!

— Powiem! — zawołał pośpiesznie. — Zamknięto ich w starej świątyni.

— Gdzie jest ta świątynia?

— Wstanie Chihuahua, w pobliżu hacjendy rotmistrza.

— Określ ją bliżej.

— To stara, porośła krzewami piramida meksykańska na północ od hacjendy. '

— Jak się wchodzi do środka?

— Tego nie wiem. Przybyliśmy nocą. Zostałem na dworze, nam wejść nie pozwolono. Tylko senior Verdoja, senior Pardero i stary służący zaprowadzili tam jeńców, najpierw obie dziewczyny, potem zaś mężczyzn.

— Gdzie znajduje się wejście? — Nie wiem.

— Chyba widziałeś, dokąd poszedł Verdoja?

— W kierunku krzaków, które rosną u podnóża piramidy po południowej stronie.

— A więc tam jest wejście. Co robiliście, gdy już jeńcy weszli?

— Pojechaliśmy do hacjendy. Tam otrzymaliśmy świeże konie i amunicję, po czym ruszyliśmy w dalszą drogę.

— Tutaj?

— Tak.

— Jak długo jechaliście?

— Od drugiej w nocy.

— Czy możemy być wieczorem przy piramidzie, jeżeli ruszymy natychmiast?

— Tak.

— Zaprowadzisz nas tam. Ale pamiętaj, przy najmniejszym podejrzanym ruchu zginiesz. Czy dobrze znasz drogę? — Tak.

— To wystarczy. A bez twego towarzysza obejdziemy się. Według prawa prerii zasłużył na karę śmierci.

Zanim Sternau zdążył mu przeszkodzić. Bawole Czoło wyciągnął sztylet i wpakował aż po rękojeść w serce czwartego Meksykanina.

— Bawole Czoło jest okrutny — skarcił go ostro Piorunowy Grot. — Te skalpy zdobył zbyt łatwo.

— Wódz Miksteków zabiera tylko skalpy tych wrogów, z którymi walczył. Ci trzej to psy, nie chcę ich skóry. Zdechli jak szakale, które zabija się pałką — odpowiedział dumnie.

Zabrali Meksykanom wszystko, co mogło się przydać, po czym ruszyli w drogę. Przewodnik również dostał konia. Jechali w piątkę przez przełęcz, potem skręcili ku północy, gdzie czekał na nich Niedźwiedzie Serce wraz ze swymi Apaczami.

Uradzono, że wyruszą wszyscy razem. Apacze postanowili napaść na hacjendę i wziąć do niewoli rotmistrza i Pardera. W ten sposób — sądzili — zmuszą ich do wydania jeńców. Jeden Indianin pojechał do Latającego Konia, aby mu zameldować, gdzie się mają spotkać pozostali wojownicy ze szczepem Niedźwiedziego Serca. Francisca zaś odesłał Sternau do hacjendy, aby zawiadomić Arbelleza o przebiegu wypadków i pocieszyć go, że Emma już wkrótce wróci.

Cały orszak ruszył niezwłocznie w drogę z białymi na przedzie. Przewodnika strzegli Niedźwiedzie Serce i Pogromca Grizzly. Za nimi jechali w tradycyjnym szeregu, jeden za drugim, Apacze prowadzeni przez najstarszego wojownika. Dotarli do płaskowzgórza Chihuahua i niepostrzeżenie minęli kilka folwarków. Późno po południu wjechali w rozległy i gęsty las. Gdy się ściemniło/przybyli na granicę posiadłości rotmistrza. Po chwili ujrzeli z daleka cel swej podróży: ciemne kontury piramidy.

WYWIADOWCY

Na północny zachód od pustyni Mapimi, tam gdzie od południowego zachodu płynie przez płaskowzgórze od strony Cosigniachi kilka większych rzek, wpadających nieco poniżej do Rio Grande del Norte, roślinność jest wyjątkowo bujna mimo jałowego w tych okolicach gruntu. Żywe pastwiska są otoczone gęstymi lasami, ciągną się aż do północno-zachodniej prowincji Meksyku, zwanej Sonorą, zanikają później w bezludnych nizinach Apaczerii.

Tędy jechali Apacze pod wodzą Sternaua, Bawolego Czoła i Niedźwiedziego Serca. Podczas całej podróży nie spotkali nikogo. Dotarli do ogromnego lasu. Nie mieli możliwości obstarwić go i przeczesać, więc przeszukali tylko brzegi.

Ktoś, nasłuchujący uważnie, zwróciłby zapewne uwagę na cichy szmer dochodzący z puszczy. Przypominał trzask drobnych gałęzi lub szelest liści nadeptywanych stopą ludzką. Na skraju puszczy szmer ustał. Z przeciwnej strony dały się słyszeć pełne wyrzutu słowa, wypowiedziane szeptem:

— Czy brat mój nie nauczył się poruszać cicho, bez hałasu?

— Pod drzewami ciemno. Czy brat mój ma oczy kota, że poznaje wszystkie gałęzie i liście?

Indianie szli chwilę w milczeniu. Nagle stanęli.

— Dlaczego mój brat się zatrzymał? — szepnął ten drugi. — Czy coś usłyszał?

— Tak, usłyszałem z daleka rzenie konia.

Jakby na potwierdzenie tych słów znowu rozległo się parsknięcie, już z bliższej odległości.

— Nadciągają jeźdźcy. Kto się wdrapie na tę wysoką sosnę, tego trudno będzie dostrzec, on natomiast obejmie wzrokiem całą prerię.

Ten, który to powiedział, począł wchodzić na drzewo, towarzysz jego podążył za nim. Mimo broni zwisającej u boku wspięli się po pniu ze zwinnością wiewiórek, nie wywołując hałasu, i przykucnęli wysoko wśród pokrytych igliwem gałęzi. Z dołu nie można ich było dojrzeć. Zaledwie zdążyli się usadowić, tuż pod sobą usłyszeli kroki. Byli to Apacze, którzy zsiadłszy z koni przeszukiwali brzeg lasu. Po pewnym czasie rozległ się głośny tętent kopyt. Oddział ruszył dalej.

— Uff! — szepnął jeden z Indian. — To Apacze. ,

— W barwach wojennych.

— W towarzystwie bladych twarzy.

— Czterech białych, uff!

— Czemu się dziwi mój brat?

— Czy brat mój zna tę wysoką bladą twarz, która jedzie na czele oddziału?

— Nie.

— To Matava-se. Widziałem go przed kilkoma zimami, gdy byłem w mieście, zwanym przez blade twarze Santa Fe.

— Uff! To dzielna blada twarz. A czy brat mój zna tych dwóch wodzów, którzy mu towarzyszą?

— Jeden z nich to Niedźwiedzie Serce, największy pies Apaczów.

— Drugi zaś to Miksteka, Bawole Czoło. Zobaczmy, ilu ich jedzie.

Siedząc wysoko na sośnie, liczyli dokładnie wojowników.

— Dwadzieścia razy po dziesięć i jeszcze sześciu Apaczów oraz cztery blade twarze — powiedział wreszcie jeden.

— Brat mój dobrze policzył — przytaknął drugi. — Dokąd zmierzają?

— W kierunku hacjendy, której właścicielem jest Ver-doja. Prezydent Meksyku wezwał Komanczów, więc zdrajca Juarez na pewno wszedł w konszachty z Apaczami. Idą na hacjendę, którą mamy zająć. Jutro przybywa tu wielu wojowników Komanczów. Apacze są zgubieni. Będą nam

musieli oddać skalpy. Pójdziemy tropem tych psów, aby upewnić się, co zamyślają.

— Rozumne słowa. Ja pójdę za nimi, a brat mój niechaj śpieszy z tą wieścią do naszych.

— Dobrze.

Zsunęli się po drzewie i ruszyli na skraj lasu. Przekonawszy się, że w pobliżu nie ma Apaczów, wyszli na otwartą prerię. Można teraz było przyjrzeć się im dokładnie. Byli to Komanczowie w pełnym uzbrojeniu. Nie mieli wprawdzie odznak wodzów, ale też z pewnością nie należeli do ostatnich wojowników. Inaczej nie powierzono by im przeszukania okolicy.

Słońce już zachodziło. W oddali zniknął z oczu długi, wijący się niby wąż oddział Apaczów.

— Niechaj brat mój śpieszy za nimi. Musi ich mieć ciągle przed oczyma, gdyż ciemności ukrywają przed nim ślady.

Indianin ruszył naprzód. Wywiadowcy zwykle nie dosiadają koni, zwierzęta bowiem mogłyby zdradzić ich obecność. W dodatku łatwiej im się ukryć, korzystając z byle jakiej osłony, i bez trudu zbliżyć się do wroga. Tak więc i teraz wywiadowca poszedł pieszo do swoich.

Oddział Apaczów dotarł do piramidy i zatrzymał się w pobliżu ponurej budowli. Przywódcy w milczeniu spoglądali na nią. W jej murach zamknięci byli ci, których kochali.

— Czy nie można by zburzyć tej całej budowli? — zapytał Piorunowy Grot.

— Cierpliwości, cierpliwości — rzekł spokojnie Sternau. — Już wkrótce skończą się ich cierpienia.

— Wróg musi zapłacić życiem za każde westchnienie, które wydobyło się z piersi Karii, córki Miksteków — dodał Bawole Czoło. — Gdzie może być wejście do piramidy?

Sternau zwrócił się do jeńca-przewodnika:

— Po której stronie zatrzymaliście się, przyjechawszy tutaj?

— Chodźcie za mną! — Meksykanin podjechał na koniu jeszcze kilka kroków.

— Tutaj.

— A gdzie znikł Verdoja z jeńcami?

— Za tym krzakiem w zaroślach, a w tamtym miejscu widziałem blask jego latarki.

— Jeśli mówisz prawdę, darujemy ci życie. Sternau przywołał obu wodzów oraz Piorunowego Grota i pokazał im miejsce wskazane przez przewodnika.

— Niech teraz nikt nie zbliża się ani do zarośli, ani do podnóża piramidy — przykazał Bawole Czoło. — Verdoja musiał tu nieraz chodzić. Mimo że sporo czasu upłynęło, ślady powinny zostać. Zobaczmy je jutro rano.

— Po co czekać do świtu? — niecierpliwił się Niedźwiedzie Serce.

— Rzeczywiście, po co? — poparł go Piorunowy Grot. — Emma nie powinna ani chwili dłużej dusić się w tym więzieniu.

— Czy chcecie, aby Verdoja sam nam wskazał drogę? — zapytał Sternau. — A więc napadniemy na hacjendę!

— Koniecznie! Biada mu, jeżeli nie będzie nam posłuszny!

— Dobrze, trzeba jednak naprzód sprawdzić, co to za hacjenda.

— Po co? — wtrącił się Piorunowy Grot. — Pojedziemy tam po prostu, schwytamy tego łotra i przywlecziemy ze sobą.

Antoni Unger gotów był do poruszenia nieba i ziemi, byle tylko jak najprędzej uwolnić ukochaną. Sternau miał mu właśnie odpowiedzieć, gdy ktoś zawołał głośno:

— Uff! Ntsage no-khi peniy! Uff! Chodźcie tu bliżej!

— Czyj to głos? — Sternau zwrócił się do Niedźwiedziego Serca.

— Pogromcy Grizzly. Przeszukiwał teren.

— W takim razie odkrył coś ważnego. Biegnijmy do niego!

Zeskoczyli z koni i pośpieszyli w kierunku, z którego słychać było wołanie. Po chwili ujrzeni młodego Apacza, kolanami przygniatającego do ziemi jakiegoś człowieka.

— To Komancz.

Znalazło się lasso i skrepowano jeńca. Był to ten sam wywiadowca, który miał za zadanie śledzić Apaczów.

— W jaki sposób brat mój Pogromca Grizzly pojmał tego człowieka?

— Jadąc na samym końcu oddziału, usłyszałem szelest, który powiedział mi, że ktoś podąża za nami. Zsiadłem więc z konia i zacząłem szukać. Kiedy go zobaczyłem, zaszedłem go od tyłu i obezwładniłem. Sternau przyjrzał się jeńcowi.

— Tak, to Komancz, szedł naszym śladem.

— Trzeba zabić tego psa — powiedział jeden z Apaczów.

Sternau skarcił go surowo:

— Od kiedyż to otwierają się usta wojownika Apaczów, zanim głos zabiorą wodzowie? Kto nie umie opanować swego języka, ten jest dzieckiem bez imienia albo gadatliwą squaw.

Zawstydzony wojownik usunął się na bok.

— Gdzie twój towarzysz?— spytał Niedźwiedzie Serce pojmanego.

Zapytany milczał uparcie. Pogromca Grizzly wymierzył mu potężny policzek.

— Czy będziesz odpowiadać na pytania, które ci zadaje wódz Apaczów?

I tym razem odpowiedzią było milczenie. Inni też nie mogli zmusić zuchwałego Komancza do mówienia. Wtedy Sternau przemówił do niego łagodnie:

— Jesteś wojownikiem, będę cię więc traktował jak wojownika. Czy uciekniesz, jeżeli ci rozwiążę więzy?

— Nie.

— Czy będziesz mówić?

— Władcy Skał będę odpowiadał, jest bowiem sprawiedliwy i nie bije jeńca, który się bronić nie może.

Była to aluzja do Pogromcy Grizzly, który w Komanczu zdobył sobie śmiertelnego wroga.

— Znasz mnie? — zapytał Sternau.

— Znam i jestem twoim jeńcem.

— Należysz do tego, kto cię pokonał. Wstań! Sternau odwiązał lasso. Jeniec podniósł się, nie przejawiając chęci do ucieczki.

— Czy jesteś sam? — wypytywał Sternau.

— Nie.

— Ilu was jest tutaj?

— Jeszcze jeden.

— Posłano was na zwiady?

— Tak.

— Za wami idzie znaczna siła wojowników?

— Tego nie wolno mi powiedzieć.

— Dobrze, nie pytam. A więc nie uciekniesz?

— Ucieknę.

— Jak to? Czy synowie Komanczów mają dwa słowa? Przecież przyrzekłeś mi.

— Jeżeli będę mógł być twoim jeńcem. Nie chcę być jeńcem chłopaka, który mnie bije.

— W takim razie będziemy cię musieli związać.

— Spróbujcie tylko!

Komancz zamierzył się i byłby powalił na ziemię Pogromcę Grizzly, gdyby nie zwinność Sternaua, który lewą ręką chwycił podniesione ramię jeńca, prawą zaś uderzył go tak mocno w skroń, iż Komancz padł na ziemię. W tej samej chwili Pogromca Grizzly wyciągnął nóż i wbił w serce wroga.

— Jego skalp należy do mnie! — zawołał.

— Piękne zwycięstwo, nie ma co — rzekł z wymówką Sternau.

Pogromca Grizzly stropił się.

— Dlaczego Apacz nie ma zabijać Komancza?

— Skoro nie pokonał go w uczciwej walce, nie powinien nosić jego skalpu — wyręczył Sternau Niedźwiedzie Serce. — Dlaczego go zabiłeś? Dzielny wojownik nie nosi skalpów tych, których zbeszcześcił.

Było to napomnienie surowe, lecz zasłużone. Młody Apacz odwrócił się, nie mając odwagi popatrzeć na trupa.

Trzymał się na uboczu, nie śmiał bowiem podejść do wodzów, którzy się naradzali.

— Jeżeli dziś jest tu dwóch wywiadowców, w takim razie nie ulega wątpliwości, że Komanczowie wkrótce przybędą — wyjaśniał Sternau. — Musimy być ostrożni. Ci dwaj widzieli nas, potem zaś rozeszli się w dwie strony. Jeden z nich szedł za nami, drugi wrócił do swoich. Nie mamy wprawdzie powodu do obaw, gdyż za nimi idą Apacze, ale byłoby dobrze, gdybyśmy skończyli z piramidą, zanim zjawią się tu Komanczowie. Nie sądzę, by przyjechali wcześniej niż jutro po południu. Proponuję, abyśmy zrezygnowali na razie z wyprawy na hacjendę i spróbowali jutro o świcie dostać się do piramidy. Gdyby Komanczowie przybyli prędzej, niż się spodziewamy, ta budowla posłuży nam za warownię. Mamy zapas wody dla siebie i koni, krzaki dają osłonę, brak tylko żywności. To najmniejszy kłopot. Chwycimy parę wołów, od północy nie ma już na pastwiskach vaquerów.

W krótkim czasie spędzono dosyć bydła, aby zaopatrzyć Apaczów na dwa tygodnie. Posłano wywiadowców w stronę zbliżających się Komanczów, po czym ułożono się do snu. Każdy chciał i musiał wypocząć. Leżeli więc na ziemi otuleni kocami. Piorunowy Grot, Niedźwiedzie Serce i Bawole Czoło nie mogli jednak zasnąć. Myśl o jeńcach zamkniętych w piramidzie nie dawała im spokoju. O świcie zbudzili Sternaua, bez którego nic nie chcieli przedsięwziąć. Udali się teraz we czterech na miejsce, które wskazał im wczoraj wieczorem Meksykanin, i zaczęli badać ziemię. Po pewnym czasie znaleźli ślady prowadzące ku południowo-wschodniej krawędzi piramidy. Wyraźny trop ciągnął się przez zarośla, po czym ginął w trawie; upłynęło sporo czasu i zdołała się już podnieść. Była to fatalna okoliczność. Opadły im ręce. Co robić? Zwołali Apaczów. Ci przeszukali najdokładniej wszystkie zarośla, podstawę i otoczenie piramidy — na próżno! Poczuli się bezradni jak nigdy przedtem. Pierwszy otrząsnął się Sternau.

— Tu nic nie możemy zrobić — powiedział. — Musimy mieć rotmistrza. A więc ruszamy na hacjendę!

Po paru minutach pięćdziesięciu Apaczów galopowało przez pustynię pod wodzą Sternaua i Niedźwiedziego Serca. Gdy słońce wzeszło, zobaczyli w oddali zabudowania hacjendy. Przyspieszyli, gdyż Komanczowie mogli być w pobliżu.

Kiedy dotarli do ogrodzenia, panowała zupełna cisza. Brama była jeszcze zamknięta. Zeskoczyli z koni i przesadzili ogrodzenie. Znaleźli zaledwie kilku vaquerów — reszta była na pastwiskach — i szybko ich obezwładnili. Jeden z Apaczów otworzył bramę. Matava-se i Niedźwiedzie Serce wjechali na podwórze. Wódz został przy wojownikach, aby zapobiec wszelkim gwałtom, Sternau zaś

z trzema Indianami skierował się ku otwartym drzwiom mieszkalnego budynku. Nie zastanawiając się długo, wszedł do wnętrza. Wszystkie domy w tej okolicy budowane były tak samo, wiedział więc, gdzie szukać hacjendera.

Napad nie mógł się, oczywiście, odbyć zupełnie bez hałasu. Mieszkańcy hacjendy obudzili się. Ogarnęła ich nieludzka trwoga. Na folwarku było tylko pięć kobiet wraz z gospodynią. Zebrały się wszystkie w jej pokoju i lamentowały ze strachu. Do tego właśnie pokoju wszedł Sternau ze swoimi czerwonymi towarzyszami. Na ich widok kobiety zaczęły głośno krzyczeć.

— Milczeć! — rozkazał doktor.

Łatwo było powiedzieć! Gospodyni rzuciła się przed nim na kolana i podniósłszy ręce błagała:

— Senior, miejcie litość! Nie zrobiliśmy wam przecież nic złego...

— Gdzie jest senior Verdoja?

— Nie ma go tutaj. Odjechał wczoraj rano i nie wrócił do tej pory.

Wiadomość ta bardzo zmartwiła Sternaua. Przecież przybyli tu tylko po to, by zmusić rotmistrza do wyjawienia tajemnicy wejścia do piramidy.

Niezadowolenie i rozczarowanie były tak widoczne na twarzy doktora, że gospodyni spytała: — Czy mój kuzyn jest waszym wrogiem?

Sternauowi strzeliła nagle do głowy pewna myśl.

— To Verdoja jest pani kuzynem?

— Tak, senior. Prowadzę mu dom.

— Czy ma do pani zaufanie?

— Czy przypuszcza pan, że gdyby tak nie było, powierzyłby mi klucze od domu?

— Chodzi mi o coś innego. Czy dzieli się z panią sprawami, których nie mówi nikomu?

— Czasami.

— Nie wie pani, dokąd pojechał?

— Nie wiem.

— Czy poprzednią noc spędził w hacjendzie?

— Tak.

— Czy zna pani piramidę, położoną niedaleko stąd?

— Owszem.

— Czy Verdoja tam wchodzi?

— O tak! Nie raz bywał w niej.

— A jak się tam dostaje?

— Tego nie wiem. To tajemnica jeszcze jego ojca. Ale na górze, w biurku, leży rysunek przedstawiający wnętrze piramidy.

— Niech mi go pani pokaże!

Stara zaprowadziła Sternaua do pokoju kuzyna. Stało tam stare biurko, które Sternau z trudem otworzył za pomocą noża. Kiedy nareszcie zamek ustąpił, doktor znalazł w szufladzie rysunek. Niewątpliwie był to plan wnętrza piramidy. Ucieszony, schował go do kieszeni i wrócił na dół. Apacze w tym czasie nie próżnowali! Przetrzęsali wszystko w poszukiwaniu amunicji. Wreszcie znaleźli ją w piwnicy. Oprócz niej zabrali również kilka haków i prętów, które mogły się przydać w piramidzie. W pół godziny po napadzie cały oddział ruszył z powrotem.

Kiedy przybyli na miejsce, Sternau zajął się studiowaniem planu. Rysunek był bardzo dokładny. Wnętrze piramidy składało się z trzech pięter, pośrodku widniała głęboka, czworokątna studnia. Obok niej biegły kruzganki połączone prostopadłymi korytarzami, po rogach mieściły się cele. Do piramidy prowadziły cztery wejścia boczne i jedno środkowe. Prawdopodobnie były zamurowane.

Sternau pokazał towarzyszom plan, po czym ruszyli na poszukiwania. Nie znaleźli nic. W pewnym momencie doktor wpadł na pomysł, aby dokładnie odmierzyć, gdzie się znajduje środek jednej ze ścian. Gdy to ustalili, okazało się, że w tym miejscu skała jest w dziwny sposób porysowana. Sternau zbadał ją, ale nic charakterystycznego nie znalazł. Wreszcie ukląkł i z ogromnym wysiłkiem począł ją pchać. To nie była lita skała! Pod jego ciężarem coś się poruszyło. Skoczył na równe nogi i krzyknął:

— Mam, mam!

— Co?! — Unger podbiegł do niego.

— Tu jest wejście! Skała ustępuje!

— Gdzie, gdzie?

— Ten środkowy głaz trzeba posunąć w głąb. Piorunowy Grot ukląkł i natężywszy wszystkie siły, zaczął pchać kamień. Wreszcie odsłoniły się kamienne walce, na których był umieszczony głaz.

Sternau zbadał otwór.

— Tu stoi latarka. Musiało ich być chyba więcej.

— A obok butelka z oliwą.

— Zapalmy prędko lampę i do środka!

Unger — gnany niepokojem o Emmę — poszedł pierwszy, nie troszcząc się wcale o to, czy ktoś za nim idzie czy nie. Wszyscy trzej: Sternau, Bawole Czoło i Niedźwiedzie Serce pospieszyli za nim. Przebyli długi korytarz. Wreszcie stanęli przed jakimiś drzwiami. Sternau oświetlił plan i przyglądał mu się uważnie.

— W planie nie zaznaczono tych drzwi — powiedział. — Czy jest w nich zamek?

— Nie — odparł Piorunowy Grot — ale trzymają mocno.

— W takim razie z boku czy też wewnątrz znajduje się rygiel albo też mają jakiś tajemny mechanizm. Nie mamy czasu na jego zbadanie. Wydrążcie sztyletami kilka otworów między murem a drzwiami. Mur jest kruchy, z cegieł. Przyniosę dynamit.

Przystąpili natychmiast do pracy. Gdy Sternau wrócił, wszystko było gotowe. Otwory napełniono i zaopatrzone w lonty. Zapaliwszy je, pobiegli ku wyjściu.

Wkrótce usłyszeli kilka następujących po sobie wybuchów. Już mieli znowu udać się do wnętrza, gdy stanął przed nimi Pogromca Grizzly. Był zadyszany, z czego wywnioskowali, że przynosi ważną nowinę.

— Co mój brat chce nam powiedzieć? — spytał Niedźwiedzie Serce.

— Te psy Komancze mijają już las, przez który jechaliśmy wczoraj.

— Kto przyniósł tę wiadomość?

— Czerwony Jeleń.

— Sprowadź go tutaj.

Gdy Indianin się zjawił, Niedźwiedzie Serce kazał mu opowiedzieć, co widział.

— Szedłem drogą, którą przybyliśmy, brzegiem lasu — rozpoczął Indianin. — Nagle usłyszałem krakanie wielkiej gromady kruków. Pewno spłoszył je ktoś, pomyślałem. Dlatego ukryłem się w krzakach i postanowiłem czekać. Po niedługim czasie przeszły koło mnie te psy Komancze. Był to duży oddział, naliczyłem przeszło cztery razy dziesięć po dziesięciu wojowników. Wśród nich było trzech wodzów. .

— Czy znasz ich?

— Nie.

— Dokąd szli?

— Gdy minął mnie ostatni, ruszyłem w ślad za nimi. Doszli aż na brzeg lasu. Tam odbyli krótką

naradę i udali się do hacjendy.

— Więc ich wkrótce zobaczymy..

— Może dopiero w nocy — wtrącił Piorunowy Grot.

— Tak. Otoczą nas — oświadczył Sternau. — Potem zaś napadną pod osłoną nocy. Musicie czuwać, a gdy się coś ważnego stanie, wejdźcie tu i zawiadomcie nas.

Wrócili znowu do korytarza. Wyważone drzwi leżały na ziemi. Zbadali je dokładnie, ale nie znaleźli nic oprócz dwóch czworokątnych otworów na górze i dole, w których tkwiły żelazne zębate haki. W żaden sposób nie można było ustalić, jak się otwierają.

— Nie pozostaje nam nic innego, jak wysadzić pozostałe — stwierdził Sternau. — Przyniosę jeszcze dynamitu.

Po jego powrocie poszli dalej. Minęło sporo czasu, nim dotarli do kolejnych drzwi położonych po prawej stronie korytarza. Sternau wziął plan do ręki.

— Czego szuka mój brat? — zapytał Niedźwiedzie Serce.

— Miejsca, gdzie znajdują się jeńcy. Uwięziono ich z pewnością pośrodku piramidy, w pobliżu studni. Korytarzem nie pójdziemy więc dalej, ale musimy wysadzić te drzwi.

Zabrali się do wiercenia otworów. Sternau napełnił je ładunkiem prochu. Cofnęli się na odpowiednią odległość. Po wybuchu znów znaleźli żelazne zębate haki i znów nie mogli odkryć mechanizmu. Człowiek, który to wymyślił, z pewnością miał niepospolity dar fantazji. Następne drzwi próbowali otworzyć żelazną dźwignią, którą Sternau przyniósł razem z prochem. Ani drgnęły. Znowu musieli użyć prochu. Drzwi miały rygle z dwóch stron, trzeba więc było użyć więcej prochu niż dotychczas. W rezultacie przy wybuchu cała budowla zatrzęsała się w posadach. Aby iść dalej, należało uprzątnąć gruzy i podeprzeć sufity. Ponieważ nie mieli odpowiednich narzędzi, pochłonęło to kilka godzin.

Kiedy kończyli tę pracę, przybył posłaniec i wywołał wodzów. Wiedzieli, że życie ludzi zamkniętych w piramidzie zależy od nich, ale wiedzieli również, że Apacze, których los został im powierzony, czekają na ich rozkazy. Razem ze Sternauem i Ungerem wyszli przed piramidę.

Komanczowie otoczyli ją szerokim pierścieniem. Według pobieżnego obliczenia liczba wrogów zaledwie przekraczała setkę. Znaczna ich część dosiadała wierzchowców.

— Zabrali konie z hacjendy — wyjaśnił Sternau. — Nie rozpoczną jednak walki, zanim wszyscy nie zdobędą koni. Możemy więc spokojnie wrócić do środka.

OCALENIE

Podczas gdy wokół piramidy za chwilę miała się rozegrać walka, czwórka Jeńców siedziała w jej wnętrzu i rozważała możliwość ratunku. Wszyscy liczyli na Sternaua. Tymczasem już dwie noce minęły, oczekiwanie wydawało im się wiecznością. Woda była prawie na wyczerpaniu, pożywienie nie mogło starczyć na długo, trupy Pardera i strażnika wydawały nieznośny odór, ze studni zaś rozlegały się w regularnych odstępach czasu ryki rotmistrza. Karia panowała nad sobą, lecz Emma była bliska całkowitego załamania. Nie wierzyła już w możliwość ratunku z zewnątrz. Wyjście z piramidy zaś kryła tajemnica, a ci, którzy ją znali, leżeli teraz martwi albo też wili się w nieludzkich bólach na dnie studni. Złożyła ręce.

— Matko Boska, módl się za nami w tej strasznej godzinie. Nie pozwól nam zginąć w okrutnej ciemnicy. Daj nam ujrzeć światło dnia. Będę wielbiła Twą dobroć, póki stanie mego życia.

Kapitan Unger milczał, Mariano zaś ujął rękę Emmy i zaczął prosić:

— Niech pani nie traci otuchy. Sternau znał przecież rotmistrza i Pardera, wiedział, co nam grozi z ich strony, z pewnością więc zrobi wszystko, aby nas odnaleźć.

— Kto mu powie, że tutaj jesteśmy?

— Bóg się nad nami ulituje. Sternau uratuje nas, święcie w to wierzę.

— A jeżeli jemu samemu przytrafi się jakieś nieszczęście?

— Nie stanie mu się nic złego. Wie, co by to dla nas znaczyło, więc będzie ostrożny. Może właśnie ta ostrożność jest przyczyną zwłoki. Minęły zaledwie dwa dni.

Może teraz dopiero znalazł się w tej okolicy. Zapewne szuka dzinladów. Ach, zdaje mi się... Co to było? Wytężyli słuch, nic jednak nie usłyszeli.

— Zdawało mi się, że słyszę jakiś łomot, jak gdyby daleki grzmot.

— To było złudzenie, senior. Żaden głos z zewnątrz nie może do nas dotrzeć.

Nie odzywając się dotąd Unger krzyknął nagle:

— Do diabła, nie mogę znaleźć!

— Czego? — zapytał Mariano.

— Środka na wysadzenie tej przeklętej piramidy w powietrze. Oczywiście w ten sposób, abyśmy wyszli cało.

— Szkoda się głowić. Tylko pomoc z zewnątrz może nas uratować.

— Niechże więc przychodzi! Straszna musi być taka powolna śmierć w podziemiach!

W tym momencie wszyscy usłyszeli coś jakby odgłos grzmotu.

— Ten sam huk co przedtem, tylko znacznie mocniejszy — powiedział Mariano. — A przecież nie usłyszeliśmy tutaj uderzenia piorunów.

— To nie był grzmot — rzekł Unger. — To wystrzał.

— Więc jakim cudem go usłyszeliśmy? — zapytała Emma.

— A jeżeli padł gdzieś wewnątrz piramidy...? — głośno myślał kapitan.

— Kto by tu strzelał?

— Tego nie wiem. Ale jako marynarz rozróżniam doskonale huk piorunu od wystrzałów. Gdyby wypalono poza piramidą, musiałyby to być pociski armatni, choć mam wątpliwości, czy i wtedy odgłos dobiegłby do nas. Ponieważ jednak usłyszeliśmy huk, musiało to być tu, w środku, na dole.

— Żaden jednak rewolwer, żadna broń ręczna nie wydaje takiego odgłosu. Po co by zresztą strzelano? Czy po to, by nam dać znak? Sternau przecież wie, że nie możemy odpowiedzieć.

— Czy nie domyśla się pani, że to była detonacja?

— Boże miłosierny! Więc pan sądzi...?

— Tak — Unger skinął głową. — Sądzę, że Sternau jest tutaj. Widocznie postanowił wysadzić drzwi, nie mogąc ich otworzyć.

Słowa te wypowiedział z takim przekonaniem i wiarą, że oczy Emmy zabłysły nadzieją. — Pociesza mnie pan, senior Unger. Zdaje mi się teraz, że nie wszystko stracone. O mój biedny, dobry ojczy, czy zobaczę cię jeszcze? — załamała się łzami. Wyciskała je raczej rozpacz niż nadzieja.

Nagle od potężnego huku zatrzęsała się ziemia. Gdy w ślad za tym doleciał ich głuchy trzask, marynarz zerwał się na równe nogi i zawołał:

— Hura! Hura! Sternau jest tutaj bez wątpienia! To była na pewno detonacja, od niej załamała się ściana. Jesteśmy uratowani, uratowani!

Emma chciała również wstać, ale ugięły się pod nią kolana.

— Czy to możliwe? — szepnęła.

— Zdaje się, że senior Unger ma rację — zauważył Mariano.

— A co pani o tym sądzi, seniorita Karia? Karia z wolna otworzyła zamknięte oczy. — To Sternau. Byłam pewna, że przyjdzie. Emma objęła przyjaciółkę i zawołała ucieszona:

— Dzięki Ci, Boże! Nigdy nie zapomnę, ile mi okazałeś miłości i łaski!

Siedzieli w korytarzu nasłuchując niecierpliwie.

— Może podejmiemy do drzwi? — zaproponował kapitan.

— Dobrze. Wtedy będziemy lepiej słyszeć, co się dzieje — odpowiedział Mariano.

Emma oparła się o jego ramię. Podeszli do drzwi i usiedli na wilgotnej ziemi. Z daleka rozlegał się hałas, jakby ktoś przesuwiał jakieś przedmioty.

— Usuwają gruzy — stwierdził Unger. — Ostatnia detonacja była bardzo silna i widać poważnie uszkodziła korytarz.

— Ach, gdyby tak było naprawdę!

— Ależ tak jest, seniorita. Proszę mi wierzyć.

— Teraz znowu nic nie słyhać...

— Wypoczywają — pocieszał marynarz.

Nie wiedział przecież, że ich zbawcy musieli wyjść przed piramidę, przywołani przez Apaczów.

Po długiej ciszy jeńcy znowu usłyszeli jakieś odgłosy. Były to jakby uderzenia siekierą lub toporem w drzewo. Zdawało im się, że słyszą w oddali głosy ludzkie. Aż wreszcie...

— A teraz te drzwi — powiedział ktoś już zupełnie wyraźnie. — Prowadzą zapewne do studni. Mamy jeszcze dosyć prochu.

Jeńcy siedzieli jak porażeni. Nie mogli wydobyć z siebie słowa, trzymali się kurczowo za ręce.

— Sternau — szepnął wreszcie kapitan. — Nie pomyliłem się.

Słuchali. Ktoś opukał drzwi, ktoś inny rzekł:

— Znowu trzeba będzie dużo prochu, te drzwi mają podwójne rygle.

Emma podniosła się teraz i zawołała głośno:

— Mój Boże! Antonio, Antonio!

Przez chwilę za drzwiami panowała cisza. Widać tamci

byli całkowicie zaskoczeni. Wreszcie rozległ się głos Piorunowego Grota:

— Emma, moja Emma, czy to ty?

— Tak, to ja, mój kochany!

— Bogu niechaj będą dzięki! Czy jesteś sama?

— Nie, jesteśmy tu wszyscy czworo.

— Wszyscy czworo? — zawołał ktoś inny. — A więc i ty, Karia?

Blade policzki Indianki zarumieniły się.

— Tak, siostra twoja jest tutaj.

— Uff! Uff! — rozległ się kolejny głos, a policzki Karii znowu pobrały. ,

— Kim jest ten trzeci? — zapytał kapitan.

— Znam go — rzekła Emma. — To Niedźwiedzie Serce. Ale gdzie jest Sternau?

Piorunowy Grot zapytał:

— Emmo, jak się czujecie?

— Dobrze, teraz już dobrze!

Ktoś zapukał do drzwi i usłyszeli Sternaua:

— A jak się powodzi memu dzielnemu kapitanowi? Brat o nim zupełnie zapomniał.

— Dziękuję, doktorze! — zawołał Unger. — Trzymam się mocno. Niech pan tylko wskaże nam port, a wylądujemy z pewnością.

— Cieszę się. Ale dość już rozmów. Tylko jeszcze jedno pytanie; Czy Verdoja jest z wami? A Pardero?

— Są w pobliżu i mają za swoje. Pardero i strażnik nie żyją. Verdoja wpadł do studni, złamał kręgosłup i obie ręce, ale jeszcze żyje.

— Co za zrządzenie Opatrzności... A teraz idziemy do was! Czy macie tam światło?

— Tak, dwie latarnie.

— Dobrze. Cofnijcie się jak najdalej od drzwi. Czy dosyć wam przestrzeni?

— Tak, wystarczająco.

— Niezadługo więc się spotkamy.

Jeńcy przeszli do sąsiedniego korytarza. Po pewnym czasie nastąpiła straszliwa detonacja. Nie tylko ją usłyszeli, ale i odczuli. Ściany zachwiały się, ze sklepienia posypały się gruzy. Gdy wszystko ucichło, rozległ się głos Piorunowego Grota:

— Emma, gdzie jesteś?

— Tutaj! — zawołała, biegnąc w jego stronę.

Przy gruzach w świetle latarki stał Piorunowy Grot. Emma rzuciła mu się na szyję.

— Mój Antonio. — szepnęła. — Byłabym umarła...

— Chwała Bogu, że zło minęło — objął ją czule. Obok niego pojawił się Bawole Czoło.

— Gdzie jest Karia, córka Miksteków? Brat i siostra padli sobie w objęcia.

Po chwili nadszedł Sternau i powitał wszystkich uściskiem dłoni. Pokrótce opowiedziano sobie ostatnie wydarzenia.

— Jak to? Wyrwałaś nóż temu łotrowi i groziłaś mu?

— Piorunowy Grot z dumą patrzył na narzeczoną.

— Tak. Nie pozwoliłam mu się dotknąć. Gdyby to zrobił, zabiłabym jego lub siebie.

— Moja ty dzielna! — zawołał, przyciskając ją do piersi. W tej samej chwili zza muru wyszedł

Niedźwiedzie

Serce.

— Córka Miksteków zabiła Pardera własną ręką?

— zwrócił się do Karii.

Indianka kochała go już od dawna, choć niegdyś była tak naiwna, że oddała swe serce hrabiemu Alfonsowi.

— Tak — szepnęła.

— A później córka Miksteków oswobodziła towarzyszy?

— Tak.

— Córka Miksteków jest bohaterką i zasługuje na to, aby wejść do namiotu wielkiego wodza.

Pogłaskał ją po głowie i odszedł. Karia wiedziała, że znaczy to u niego więcej niż tysiące słów. Sternau przerwał rozmowy.

— Odłóżmy je na później. Mamy tu jeszcze sporo do zrobienia. Przede wszystkim trzeba obejrzyć cele, w których byliście zamknięci, i ciała zabitych.

Mariano, wzięwszy jedną z latarek, ruszył pierwszy. Wybawcy jeńców wzdrygnęli się na widok wąskich, wilgotnych podziemi. Gdy podeszli do obu trupów, nie mogli wydobyć z siebie ani słowa.

Nagle rozległ się przeraźliwy, długi krzyk.

— Co to? — zapytał Piorunowy Grot.

— To Verdoja — wyjaśnił Mariano.

— Zaprowadźcie mnie do niego! — rzekł Sternau. Dziewczyny uprosiły kapitana Ungera, żeby pozostał z nimi.

Gdy mężczyźni doszli do studni, znowu rozległ się krzyk. Nie ma chyba na świecie zwierzęcia, które potrafiłoby wydawać podobne dźwięki. Przejął ich taką grozą, że odwrócili się na chwilę od studni.

— Nie chciał powiedzieć, w jaki sposób można drzwi otworzyć? — spytał Sternau.

— Nie. Pragnął naszej śmierci.

— W takim razie to naprawdę jakiś potwór. Jednakże muszę go zobaczyć.

Rozwinął swe łąso, związał je razem z łąsami Bawolego Czoła i Niedźwiedzięgo Serca, wzięł latarkę i spuścił się na dół. Kiedy światło padło na rannego, otworzył on nabiegłe krwią oczy, wpatrzył się w Sternaua jak w upióra, po czym zawołał:

— Psie, czyś to ty naprawdę?!

— Tak, to ja. Dowiedz się, ty szatanie w ludzkiej skórze, że plany twoje nie powiodły się. Przybyliśmy, aby uwolnić twych jeńców. Drzwi są otwarte!

— Bądźcie przeklęci!

Miotany wściekłością, usiłował się podnieść, alg każdy ruch sprawiał mu taki ból, że nie dał rady. Chciał też coś jeszcze powiedzieć, ale zamiast słów wydobył z gardła jakieś przeraźliwe, nieartykułowane dźwięki.

— Zbliża się twoja śmierć. Nie przeklinaj, błagaj Boga o litość!

Verdoja wyteżył wszystkie siły i zawołał:

— Precz! Nie chcę żadnej litości!

W sercu Sternaua zgasła ostatnia iskierka współczucia dla rotmistrza.

— Więc dobrze, nie zaznasz jej. Nie ruszymy palcem, aby złagodzić twoje cierpienie.

Schylił się i zaczął badać rannego.

— To kara boża — rzekł. — Kości masz połamane; za parę godzin nie będzie cię wśród żyjących.

Obwiązał go sznurami i dał znak stojącym na górze, aby zaczęli ciągnąć. Przypuszczali, że to Sternau. Dopiero coraz głośniejszy ryk uprzytomnił im, kogo wyciągają. Wydobywszy rotmistrza ze studni, położyli go na korytarzu, zdjęli z niego łąso i rzucili je w dół, aby Sternau wspiął się po nich.

— Co zrobimy z tym człowiekiem? — zapytał Piorunowy Grot.

— Przyślę kilku Apaczów — powiedział Sternau — by go zanieśli do przedniego korytarza i orzeźwili wodą. Niech tam leży, dopóki nie skona. A teraz wracajmy.

Poszli do kobiet i poprowadzili je przez wyważone drzwi do wyjścia. Emma nagle zatrzymała się i ze łzami w oczach wyciągnęła ramiona do Sternaua.

— Nigdy, nigdy, póki życia, nie zapomnę, co panu zawdzięczam!

Bawole Czoło również uściśnął dłoń doktora.

— Matava-se, jeśli zażądasz, bym oddał swe życie, usłucham.

Odeszli nieco od piramidy, aby mieć lepszy widok. Liczba Komanczów zwiększyła się znacznie. Dochodziła do trzystu. Wszyscy siedzieli na doborowych koniach i, o ile można było dojrzeć, broń mieli przednią.

Emma przerażona się widząc tylu wrogów. Mężczyźni uspokoiли ją. 'Karia — jak zawsze odważna — zażądała strzelby, bo chciała wziąć udział w walce.

Zanim słońce zaszło, liczba nieprzyjaciół wzrosła do czterystu. Otoczyli piramidę zwartym kołem. Gdy się ściemniło, pozapalali ogniska. Apacze postąpili tak samo; piekli mięso świeżo ubitych bawołów. Około północy pogasły ognie i jedne, i drugie.

Pod osłoną ciemności Komancze mogli zaatakować. Należało więc zdwoić uwagę. Wodzowie postanowili, że ani jeden wojownik nie położy się spać. Na skraju, w zaroślach, leżeli strzelcy, czujni na każdy ruch nieprzyjaciela. Ponadto, za radą Sternaua, rozesłano zwiadowców. Ich zadaniem było podpełznąć do wroga jak najbliżej. Uzbrojeni jedynie w noże, mieli rozkaz cofnąć się natychmiast, gdy tylko zauważą, że Komancze szykują się do ataku.

Niedźwiedzie Serce dowodził oddziałem, który zajął pozycje przy północnej ścianie piramidy, Bawole Czoło stanął na czele tego, który miał jej bronić od południa, nad wschodnią stronę objął pieczę Piorunowy Grot z kilkudziesięciu Indianami, nad zachodnią Sternau — rów nież mając do dyspozycji tę samą liczbę Apaczów. Sternauowi powierzono ponadto dowodzenie grupą gońców, którzy mieli przekazywać jego rozkazy towarzyszom. Około drugiej po północy Piorunowy Grot pchnął do Sternaua człowieka z wiadomością, że Komancze ruszyli i zmierzają na północ i na zachód. Niedługo potem Niedźwiedzie Serce i Bawole Czoło przysłali meldunek, że wszyscy napastnicy podążają w kierunku zachodnim. Wiadomo więc już było, że Wróg w sile czterystu ludzi chce zaatakować Apaczów od tej właśnie strony. Sternau rozkazał więc, aby wszystkie oddziały przyłączyły się do niego. Zaledwie spełnili to polecenie, przybyli zwiadowcy z wieścią, że wróg zbliża się od zachodu. Sternau zwrócił się do Niedźwiedziego Serca:

— Niechaj brat mój weźmie pięćdziesięciu wojowników, znajdzie konie, okrąży Komanczów i spadnie im na tyły!

— Uff! — sapnął Apacz zachwycony pomysłem. — Matava-se to dzielny wódz. Osiągniemy wielkie zwycięstwo.

Odszedł, a wkrótce niepostrzeżenie zniknął ze swoim oddziałem. Sternau wydał teraz rozkaz pozostałym stu pięćdziesięciu wojownikom, aby nie strzelali do jeźdźców, ponieważ koni dosiada ich bracia.

W głębokiej ciszy oczekiwano rozpoczęcia walki. Gdy na wschodzie powoli zaczęła wschodzić jutrzienka i można było od biedy rozróżnić poszczególne przedmioty, rozległy się nagle głośne okrzyki wojenne i czterystu Komanczów ruszyło do ataku. Szli pieszo. Dzięki temu tworzyli dogodny cel dla Apaczów. Kiedy się zbliżyli, na rozkaz Sternaua padło równocześnie sto pięćdziesiąt strzałów. W szeregach Komanczów powstał popłoch, a tymczasem Apacze naładowali strzelby i ponownie dali ognia. Przerażliwe wrzaski świadczyły o zaskoczeniu i wściekłości wrogów. Skupili się i po raz drugi usiłowali natrzeć. Apacze nie mieli czasu ładować jednorurek. Zapowiadała się walka twarzą w twarz. Już wyciągnęli tomahawki, gdy raptem w pełnym galopie nadciągnął oddział jeźdźców i wpadł od tyłu na Komanczów, masakrując ich straszliwie. Był to Niedźwiedzie Serce ze swoimi pięćdziesięcioma ludźmi.

Nastał już dzień. Sternau mógł ogarnąć wzrokiem pole walki. Zorientował się natychmiast w sytuacji.

— Na koń i w cwał! — zawołał.

Konie Apaczów stały właśnie tutaj, po zachodniej stronie piramidy. W ciągu niespełna minuty ruszono na Komanczów. Nie spodziewali się takiego ataku, do odparcia nie mieli siły. Zawrócili więc i przedzierając się przez wrogów, zaczęli uciekać. Apacze odnieśli zdecydowane zwycięstwo. Zdobyli blisko sto skalpów, sami jednak stracili około trzydziestu ludzi.

Gdy odpoczywali, Komanczowie jak wczoraj otoczyli piramidę.

Sternau zwołał naradę z wodzami.

— Teraz możemy się przedrzeć — zaproponował. — Komanczowie nie zatrzymają nas, klęska odebrała im odwagę.

Niedźwiedzie Serce był innego zdania.

— Po co odchodzić? Tutaj nie mogą nas pokonać, a wkrótce, przybędą moi bracia.

Pozostali zgodzili się z wodzem Apaczów, Sternau więc musiał ustąpić.

Gdy walka jeszcze trwała, Verdoja został przeniesiony do wyjścia, gdzie jeden z Indian pozostał przy nim na straży. Wkrótce jednak Apacz mógł opuścić ten posterunek, gdyż Verdoja zmarł w okrutnych mękach.

Upłynęły dwa dni, a oczekiwani wojownicy nie przybywali. Zdawało się, że liczba Komanczów wzrosła. Nareszcie w nocy jeden z wartowników, stojący na pozycji najbardziej wysuniętej do przodu, spostrzegł czołgającego się człowieka. Równocześnie spojrzeli na siebie. Dzieliło ich zaledwie osiem stóp. Apacz już miał dobyć noża, gdy wstrzymał go szept:

— Jestem Apaczem. — Przyczołgał się bliżej i znów szepnął: — Brat mój na warcie? Jaki wódz wyznaczył mu posterunek?

— Matava-se.

— Czy Matava-se jest tutaj z moimi braćmi?

— Tak.

— W takim razie dokażą czynów bardzo walecznych. Muszę zobaczyć się z wodzem.

— Zaprowadzę cię do niego.

Kiedy stanęli przed Sternauem, ten właśnie prowadził naradę z wodzami.

— Kim jesteś? — spytał gońca.

— Jestem Krążący Sęp, wódz Apaczów szczepu Llanero.

Niedźwiedzie Serce wstał i podszedł do przybysza.

— Tyś jest Krążący Sęp? W takim razie jesteś moim bratem. Witam cię. Kiedy przybędziesz ze swoimi Apaczami?

— Przybywam jako posłaniec. — Nie jako wódz?

— Nie. Latający Koń zebrał wodzów Apaczów, aby im powiedzieć, że wojna wybuchła w Meksyku i że Juarez jest przyjacielem Apaczów. Obecni byli wszyscy wodzowie. Ale oni nie chcą rozpoczynać wojny z prawym przywódcą Meksyku. Dlatego zakopali w ziemię topór wojenny, mnie zaś posłali, abym wam o tym doniósł.

— A więc wojownicy nie przybędą do nas?

— Nie. Latający Koń kazał ci powiedzieć, abyś wrócił ze swoimi wojownikami tam, gdzie Apacze przygotowują mięso.

Niedźwiedzie Serce pochylił głowę. Zapadło milczenie. Pierwszy przerwał je Bawole Czoło.

— Od kiedy to Apacze mają dwa języki? Raz mówi Latający Koń, że musimy wziąć topór wojenny, to znowu, że należy go zakopać. Odnieśliśmy wielkie zwycięstwo, zdobyliśmy sto skalpów i mamy wracać, aby przygotowywać mięso?

— Od ciebie nikt nie wymaga posłuszeństwa, jesteś przecież wodzem Miksteków — zauważył posłaniec.

— Więc milczę! — rzucił ostro Bawole Czoło.

— Co mówi na to Matava-se? — zapytał Niedźwiedzie Serce.

— Kocham pokój, choć pomagam przyjaciołom. Niechaj brat mój Niedźwiedzie Serce postąpi, jak uważa.

Ale wódz Apaczów nie mógł tak od razu podjąć decyzji. Wtedy odezwał się Krążący Sęp:

— Oznajmiłem, co mi oznajmić kazano. Niech bracia moi się naradzą. Ja muszę wracać w ciągu tej jeszcze godziny, taka jest wola wodzów.

Po tych słowach pożegnał się. Miał przed sobą niebezpieczną drogę, musiał bowiem przekradać się przez strażę Komanczów. Gdyby go schwytali, straciłby skalp.

Wodzowie na razie nie omawiali sprawy.

Nad ranem dały się słyszeć z obozu Komanczów wesole okrzyki. Gdy się rozwidniło, Apacze zrozumieli przyczynę tej radości. Oto w nocy przybyły Komanczom posiłki. Było ich teraz przeszło tysiąc. Sternau przypuszczał, że przysłano im ludzi, których wodzowie skierowali do dyspozycji prezydenta. Stracił ostatnią nadzieję. O ucieczce nie mogło być mowy, pozostawała tylko śmierć.

Wojownicy Apaczów posępnym wzrokiem spoglądali na przeważające siły wroga. Z chwilą gdy odmówiono im pomocy, opuścił ich duch walki. Matava-se wdrapał się na szczyt piramidy. Chciał być sam, aby zastanowić się nad położeniem. A było ono groźne. Szło przecież o wolność, a może i o życie. Doktor zastanawiał się, czy zobaczy jeszcze swoją rodzinę. Usiadł i sięgnął do kieszeni, aby przeczytać ponownie ostatni list Rosety. Ale ponieważ zamiast listu wyciągnął plan piramidy, rozłożył go i prawie machinalnie rzucił nań okiem. Nagle zwróciło jego uwagę, że wśród regularnie zbudowanych korytarzy jeden był krótszy od innych i wyglądał na planie jak długa wąska cela. Obok niego napisano słowo: „peta-pove”. Był to wyraz, którego Sternau nigdy nie słyszał. Gdy tak rozmyślał, co może znaczyć, stanął obok niego Miksteka.

— Czy brat mój słyszał kiedyś słowa: „pete-pove”?

— Tak mówią Indianie plemienia Jemes. Znaczy to: „zstępować w dolinę”. Dlaczego brat mój pyta o to?

Sternau nie odpowiedział. Podniósł się i zaczął badawczo patrzeć na zachód, gdzie Kordyliery wznoszą się nad niziną Sonory. Nagle odwrócił się i rzekł:

— Niech brat mój idzie za mną!

Prawie biegiem dotarł do miejsca, gdzie miały swe posłanie dziewczęta. Wziął małą beczułkę prochu z zapasów przywiezionych z hacjendy, zapalił kilka latarek i przywołał kilkunastu krzepkich Apaczów. Dał im do rąk młoty, motyki i drągi żelazne. Niedźwiedziemu Sercu polecił, by doglądał obozu, po czym wraz z Bawolim Czołem i Indianami znikł w otworze wiodącym do wnętrza piramidy.

Skierowali się na prawo, aż dotarli do jakichś drzwi. Ponieważ nie ustępowały pod uderzeniami motyk i drągów, wysadzono je dynamitem, a po nich następne. Dotarli teraz do schodów, u podnóża których były kolejne drzwi. Za nimi — jak przypuszczał Sternau na podstawie planu — znajdował się ów korytarz podobny do wąskiej celi. Po wysadzeniu przegrody musieli zejść jeszcze kilka stopni w dół, aż znaleźli się w wąskim, wysokim korytarzu, który zdawał się nie mieć końca. To przejście podziemne prowadziło prosto na zachód. Szli teraz dość długo, aż napotkali jakieś stopnie pnące się w górę. Sternau kazał swoim ludziom zaczekać, a sam wdrapał się na nie. Dalszą drogę zamykały olbrzymie głazy. W ruch poszły motyki i drągi. Gdy odsunięto głazy — nagle załało ich światło dzienne. Powiększono otwór. Wyszli przezeń na małą dolinę, na której nie było nic prócz kamiennych głazów.

W odległości jakiejś mili angielskiej ujrzeli na wschodzie kontury piramidy, między nimi zaś a

dolinką — gromady Komanczów. Konie nieprzyjaciół pasły się zaledwie o pięćset kroków od miejsca, w którym stali.

— Co powie mój brat na to odkrycie? — zapytał Sternau wodza Miksteków.

— To odkrycie ratuje od zagłady wiele istnień ludzkich — odpowiedział spokojnie Bawole Czoło, choć z oczu jego można było wyczytać, że radość rozpiera mu serce.

— Komanczowie posądzą nas o czary.

— Będą szukać Apaczów i nie znajdą. Uciekniemy na ich własnych koniach. Karia, córka Miksteków, nie umrze z ręki brata swego, który nie dopuściłby, aby zhańbiło ją małżeństwo z Komanczem.

Jak zwykle brat myślał o siostrze.

— Teraz jednak musimy wracać. Nikt nie powinien nas tutaj widzieć.

Zeszli znowu do korytarza, zasłoniwszy otwór kamieniami.

Po ich powrocie rozpoczęła się wielka narada wodzów, na którą zaproszono wojowników. Ustalono, że wyruszą wszyscy razem i rozłączą się dopiero za Kordylierami.

— Niedźwiedzie Serce kocha swych przyjaciół, odprowadzi ich więc do Guaymas.

Policzki Karii pokrył rumieniec. Wiedziała doskonale, do kogo się te słowa odnoszą.

Ze względu na podróż przez góry trzeba było przygotować prowiant. Ponieważ koni nie dałoby się przeprowadzić przez podziemne przejście, postanowiono zostawić je na miejscu, a zabrać konie Komanczów. Należało też wziąć ze sobą wszystko, co mogłoby się przydać w dalekiej podróży. Apacze przygotowali nawet swoje siodła, nie chcieli bowiem rozstać się z nimi.

Gdy słońce skłoniło się ku zachodowi, Karia weszła na szczyt piramidy, stała tam wysmukła i piękna. Wiatr rozwiewał jej suknię, ciemne policzki ożywiły się. O czym myślała ze wzrokiem skierowanym na północ? Nie leżało tam Guaymas, najbliższy cel ich podróży, ani ziemie Miksteków, ani hacjenda del Erina. Były to tereny pastwisk i mateczników Apaczów — ojczyzna Niedźwiedziego Serca, najdroższego jej sercu człowieka. Jakże mogła kiedyś kochać hrabiego Alfonsa! Jak inny jest Niedźwiedzie Serce!

Zatopiona w myślach, nie słyszała, że ktoś wszedł na piramidę. Był to Niedźwiedzie Serce. Ujrawszy dziewczynę, stanął jak wryty. Zachwycił go odbłask słońca na jej włosach i cała piękna sylwetka. W tym momencie Karia poczuła czyjąś obecność i odwróciła się śpiesznie. Kiedy zobaczyła, że to on, oblała się rumieńcem. Wódz zauważył jej zmieszanie. Podszedł bliżej i rzekł:

— Córka Miksteków płoszy się na widok Niedźwiedziego Serca? Jeśli tak, Niedźwiedzie Serce odejdzie, choć nie wie, czym ją dotknął.

Szeptala ledwie dosłyszalnym głosem:

— Nie obraził mnie wódz Apaczów. Popatrzył na nią badawczo:

— Lecz nienawidzi go, chciałaby uciec, gdy on się zbliża?

— Nie.

— Czy wina to Niedźwiedziego Serca, że idzie po jej śladach? Czy może rozkazywać snom i mówić: to przynóście, tego zaś nie? Dlaczego oko jego widzi w falach rzek i w obłokach nieba zawsze jedną i tę samą twarz, jedną i tę samą postać? Przecież nie jestem Wielkim Duchem, Manitu, abym umiał zabić coś, co we mnie żyje.

Karia milczała. Niedźwiedzie Serce spostrzegł, że dziewczyna drży.

— Dlaczego Karia nie odpowiada? — zapytał. — Jak długo jeszcze będę ją widział? Może kilka dni, kilka godzin. Później zostanie żoną innego...

— Nigdy nie zostanę żoną innego! Podszedł jeszcze bliżej.

— Mówisz nigdy? Czy wierzysz w to, co mówisz? Czy jesteś tego pewna? Powiedz, kochasz

mnie?

— Kocham cię.

— I ja ciebie kocham. Bądź więc żoną Apacza, jedyną jego żoną. Nie będziesz pracować jak inne kobiety. Będziesz żyła jak białe kobiety, których każde życzenie jest rozkazem.

Objął dziewczynę ramieniem, przytulił i ucałował, nie dbając o to, że stoją na szczycie piramidy i że wszyscy Komanczowie mogą ich zobaczyć. Tam na dole wydano już na nich wyrok śmierci, a oni tymczasem łączyli się na całe życie.

Stali tak w uścisku, pogrążeni w błogim zapomnieniu. Słońce oświetlało ich purpurą zachodu. Nagle odwrócili się przerażeni, gdyż jakiś głos zapytał:

— Które z was chore, że się opiera na drugim?

Był to Bawole Czoło. Ponieważ zbliżała się chwila wymarszu, postanowił poszukać siostry. Nie przypuszczał nawet, że ujrzy ją w objęciach Apacza.

Niedźwiedzie Serce na chwilę stropił się, ale opanował się szybko i zapytał pewnym głosem:

— Czy Bawole Czoło jest jeszcze moim bratem i przyjacielem?

— Jest nim.

— Czy gniewa się na mnie za to, że mu zabieram serce jego siostry?

— Nie gniewa się, bo nikt mu go zabrać nie może. W sercu prawdziwej kobiety znajdzie się miejsce i dla męża, i dla brata.

— Czy pozwalasz mi przybyć do hacjendy del Erina i przynieść ofiarę poranną?

— Pozwalam.

— Z czego ma się składać?

— Zdecyduj sam. Bawole Czoło nie sprzedaje siostry.

— Czy mam ci przynieść sto skalpów swych wrogów?

— Nie, wezmę je sam.

— Albo dziesięć skór szarego niedźwiedzia?

— Nie, mam ich pod dostatkiem.

— Powiedz więc, czego żądasz?

Oczy Bawolego Czoła zaszyły łzami. Objął Apacza ramieniem i rzekł:

— Nie żądam od ciebie ani skalpów, ani skór, ani złota, ani srebra, żądam tylko, aby Karia, córka Miksteków, była szczęśliwa w twoim namiocie. Jesteś mi przyjacielem i bratem, lecz gdyby siostra moja nie znalazła u ciebie szczęścia, rozplątałbym ci głowę tomahawkim, a mózg twój oddałbym mrówkom na pożarcie. Idź na swoje pastwiska, pomów ze swoimi, a potem wracaj do hacjendy i bierz dziewczynę.

Po tych słowach Bawole Czoło oddalił się. Serce Apacza wypełniło ogromne szczęście.

Obozu nie wolno było opuścić, dopóki się nie ściemni. Wojownicy mieli ruszyć z nastaniem nocy. Gdy więc zapadł wieczór, Apacze weszli do środka piramidy. Każdy miał przy sobie broń i rzeczy najniezbędniejsze. Gdy ostatni z nich przestąpił próg, zasunięto wejście kamieniem i cały orszak ruszył w drogę. Na czele szedł Niedźwiedzie Serce, na końcu Sternau. Minęli schody. Sternau podłożył ładunek prochu pod korytarz i zapaliwszy lont, podążył za innymi. Nie zapalając światła, po omacku, szczęśliwie minęli przejście podziemne, po czym natychmiast zasypali jego wyłot.

Usłyszeli teraz cichy huk, coś jak gdyby dalekie trzęsienie ziemi, nie widać było jednak żadnego błysku. Dynamit wybuchł i wysadził korytarz. Teraz nikt nie mógł odkryć, w jaki sposób uciekli. Co prawda wydostali się z potrzasku, ale trzeba było jeszcze zdobyć sto siedemdziesiąt koni. Posłano wywiadowców, aby zbadali, jak wierzchowce są strzeżone. Wrócili z wiadomością, że tylko przez trzech wartowników.

Uporano się z nimi błyskawicznie. A konie były indiańskie. Dopuszczały do siebie czerwonoskórych, nie parsknęwszy nawet i nie zdradziwszy niepokoju. Na rozkaz Sternaua zachowywano wszelkie środki ostrożności. Aby nie zwrócić na siebie uwagi Komanczów, Apacze dosiadał koni pojedynczo i pojedynczo odjeżdżali. Większość odprowadzała je o kilkaset kroków i potem dopiero wskakiwała na siodła.

Preria była tu miękka, więc nikt nie spostrzegł, że porwano konie. Gdy następnego ranka znaleziono ciała trzech zabitych wartowników, Apacze oddalili się już o pół dnia drogi, Komancze na próżno usiłowali wytłumaczyć sobie tajemnicze zniknięcie wrogów.

ZAGINIENI

Zacbobnoamerykańska rzeka Colima uchodzi do oceanu przez wielką zatokę, zwaną Puerto de Colima lub Manzanillo, Miasteczko zaś Colima leży w żyznej okolicy i zajmuje się ożywionym handlem. Przy ujściu rzeki zarzucają kotwicę statki o niemałym tonażu. Taki właśnie stał teraz w porcie. Kadłub miał kształtny, miły dla oka, wyglądał jak nowy. Przyglądali mu się dwaj spacerujący po przystani mężczyźni.

— Goddam, to piękny statek. Zbudowano go z pewnością w jakiejś amerykańskiej stoczni. — Ten, który to powiedział, był wysoki i szczupły; jego ubranie pozostawiało wiele do życzenia, było wygniecione, o wystrzępionych nogawkach i mankietach.

— Widać to na pierwszy rzut oka — zauważył drugi. Był szeroki w barach, krępy. Gdyby nie podarte lakierki na nogach popękane rękawiczki na rękach, można *by* go śmiało wziąć za marynarza.

— Czy nie można by na nim umieścić jakiejś armaty?

— Pan mnie o to pyta, kapitanie? Przecież pan zna się na tym lepiej ode mnie.

— Tak sądzisz? To dobre! Ale nie nazywaj mnie kapitanem nawet, gdy nikt nas nie słyszy. Jestem czcigodnym dyrektorem teatru, nazywam się Guzman, a ty... No, kim ty właściwie jesteś?

— Reżyserem.

— Tak, moim reżyserem. Nazywasz się Hermilio Martinez. Zrozumiano?

— Rozkaz, panie dyrektorze! — odpowiedział tamten z karykaturalnym ukłonem.

— Jak sądzisz, dokąd ten statek wyrusza?

— Skąd mam wiedzieć? Ale tam w łodzi siedzi jakiś chłopak. Może należy do załogi.

Podeszli bliżej do brzegu, przy którym była przycumowana kapitańska łódź. Dyrektor zapytał chłopca:

— Senior, czy pan z tego statku?

Nikt jeszcze nie tytułował go seniorem, obaj mężczyźni przypadli mu więc od razu do serca. — Tak.

— Jak się nazywa ten okręt?

— „Lady”. Przecież nazwa wypisana jest złotymi literami.

— Nie zauważyłem tego, senior. Czy ten piękny statek ma również kapitana?

— Oczywiście! Jak mógłby być bez kapitana?

— Myślałem sobie, że może komendant jest porucznikiem.

— To się zdarza tylko na okrętach wojennych.

— Jak się nazywa kapitan?

— Mister Wilkers.

— Czy pochodzi z Ameryki Północnej?

— Tak. Ja też jestem stamtąd.

— Tego się spodziewałem, senior. A co wieziecie na statku?

— To i owo. Między innymi sporo rzeczy do Guaymas.

— Do Guaymas? Hm. Czy nie moglibyście nas zabrać? Chcemy właśnie dostać się tam. Gdzie kapitan?

— Na lądzie, ale powinien wkrótce wrócić. Oto i on!

— Który, ten niski?

— Tak, ten z rękami w kieszeniach.

Do przystani zbliżał się mały, zasuszony człowieczek. Zaczerwienione policzki, chwiejny chód i mętny wzrok zdradzały, że wypił dziś co nieco za wiele.

— Hola! Boy, ruszamy! — wołał do chłopca.

— Nie tak prędko, sir.

— Nie? A niby dlaczego? Kiedy przychodzi kapitan, wszystko powinno iść raz-dwa. Musimy robić trzydzieści węzłów na kwadrans. Zapamiętaj to sobie!

— Chwileczkę... Ci dżentelmeni chcą z panem mówić.

— Ze mną? A co to za jedni?

Obrzucił ich dobrodusznym spojrzeniem, strzelił z palców i uśmiechnął się:

— Szczury lądowe, co?

Obaj mężczyźni zdjęli kapelusze i stanęli przed nim w uniżonej postawie. Wyższy rzekł:

— Panie kapitanie, jestem dyrektorem teatru, nazywam się Guzman, a to mój reżyser Martinez.

— Aktorzy? Mili ludzie, zabawni ludzie. Czego chcecie ode mnie?

— Słyszeliśmy, że pan płynie do Guaymas. Ja również chciałbym się tam dostać z moją trupą.

— Do diaska! Z ilu osób składa się ta trupa?

— Nie licząc nas dwóch, z czterech aktorów i pięciu młodych, pięknych aktorek, senior.

— Do pioruna, to byłaby frajda! Czy zapłacicie za tę podróż, hę?

— Jeżeli niedużo...

— Pięć dolarów od osoby, ale tylko za przejazd. Wyżywić musicie się sami.

— A więc razem pięćdziesiąt pięć. Czy nie wystarczyłoby jednak okrągłe pięćdziesiąt?

— Pięćdziesiąt to trochę za mało. No, ale te kobiety... Niech i tak będzie. Tylko zapłacić musicie zaraz przy wsiadaniu, inaczej wrzucę was do wody. — Kiedy odjazd?

— Jeszcze dziś wieczorem. Przyływ rozpoczyna się o dziewiątej, o jedenastej ruszamy.

— Dziękujemy pięknie, senior. Będziemy przed dziesiątą na pokładzie.

Uklonili się nisko i odeszli. Czas jakiś włóczyli się po wybrzeżu. Potem weszli do szynku mieszczącego się w jednopiętrowej ruderze. Kilkoro indywiduów siedzących przy obdrapanych stołach nad sokiem agawy powitało ich głośnymi okrzykami:

— No co, dyrektorze, jeszcze nie?! — Owszem. Dziś!

— Nareszcie! A jak?

— Jako aktorzy. Sześciu mężczyzn, pięć kobiet. — Cha, cha, doskonale! A to ci heca!

Dyrektor wychylił szklanekę, po czym opuścił szynk, zapowiadając, że niedługo przyjdzie po nich.

„Lady” była gotowa do żeglugi. Wybiła dziewiąta. Marynarze, przechylając się przez poręcz, z ciekawością wypatrywali pasażerów. Nareszcie przybyła trupa. Jede naście osób nie mogło się pomieścić w małej łódce, przewieziono ich w dwóch turach.

Kapitan Wilkers, stojący przy drabince, wyciągnął rękę. Dyrektor zapłacił i kapitan przeszedł na mostek. Statek ruszył. O paszporty lub inne świadectwa tożsamości nikt pasażerów nie pytał. Zachowywali się nad wyraz skromnie i spokojnie, ustępowali każdemu z drogi. Po godzinie ich pobytu na statku marynarze orzekły, że przyjęli na pokład sympatyczną kompanię.

— Ale czy te panie wytrzymają podróż? — zaniepokoił się jeden z nich. — Fale wysokie, o chorobę morską nietrudno.

Były to próżne obawy, nikt z podróżnych nie dostał mdłości, choć mogło to wydać się dziwne, marynarze nie zwrócili na to uwagi. Kapitan, wydawszy odpowiednie rozkazy załodze, poszedł spać do swojej kajuty.

Aktorzy czas jakiś siedzieli na przednim pomoście i rozmawiali, potem ułożyli się tam na spoczynek. Noc była ciepła. Około drugiej po północy dyrektor szepnął:

— Już czas. Minęliśmy Quatalaxaco. Czy widzicie tę chmurę? Gdy będzie nad statkiem, niech każdy wybierze sobie jednego człowieka. Nóż prosto w serce i nie wyciągać ostrza, wtedy nie

popłynie ani jedna kropla krwi.

Chmura zawisła nad statkiem. Ściemniło się jeszcze bardziej.

— Wstawać! Do roboty! — znów szepnął dyrektor. Rzekome kobiety zrzuciły suknie, a mężczyźni jasne

części ubrania. W ciemnej odzieży i bez obuwia na nogach zaczęli się snuć po statku jak cienie. Wszystko odbywało się w kompletnej ciszy. Tylko od czasu do czasu ktoś westchnął głębiej.

Dyrektor pobiegł na tylny pokład. Stał tu sternik i zapat rzony przed siebie prowadził statek. Nagle poczuł w sercu coś zimnego, twardego. Chciał krzyknąć, nie mógł jednak wydobyć głosu i martwy padł na ziemię. Przy sterze stanął dyrektor. Gwizdnął cicho. Niebawem zjawił się obok niego reżyser.

— No i co?

— Wszystko w porządku, dyrektorze.

— Zostań przy sterze, ja pójdę do kapitana. — A co będzie z chłopcem? Śpi na dole.

— Nie możemy go oszczędzić. — Szkoda, taki miły z niego brzdąc.

Tak rozstrzygnięto los dwóch pozostałych jeszcze przy życiu członków załogi. Dyrektor zszedł do kajuty. Otworzył drzwi zamknięte na klucz i zbliżył się do koi. Kapitan spał. Morderca odchylił kołdrę i precyzyjnie wpackował mu nóż w serce. Nie wyjmując sztyletu, wyniósł zwłoki na pokład. Po kilku minutach przyniósł tam również chłopca okrętowego. Wszystkich pomordowanych, przymocowawszy im do nóg kamienie, wrzucono do morza.

Dyrektor wrócił do kajuty kapitańskiej i zaczął dokładnie studiować księgi okrętowe, tabele i inne papiery, które tam znalazł. Trwało, to aż do świtu, po czym wyszedł na pokład. Dźwięk małego srebrnego gwizdka zgromadził wszystkich na pokładzie.

— Żart się udał, chłopcy! — zawołał przywódca. — Teraz zaczniemy żyć po królewsku. Tylko jeszcze czas jakiś musimy być ostrożni. Wieziemy towar do Guaymas. Tam nikt nie zna ani statku, ani załogi. Zatrzymamy więc nazwę „Lady” wpisaną do ksiąg okrętowych. Jestem kapitan Wilkers, a wy... — ochrzcił każdego odpowiednim nazwiskiem i porozdzielał role.

Już następnego dnia zawinęli do Guaymas.

Było to schludne i sympatyczne miasteczko portowe w prowincji meksykańskiej Sonora, położone w pięknej okolicy, którą marynarze chętnie zwiedzają.

Kapitan Wilkers bez trudu dowiedział się, co zrobić z ładunkiem. Nikomu nawet nie przyszło do głowy podejrzewać go o cokolwiek. Załoga spędziła na hulankach kilka dni.

Pewnego dnia kapitan wybrał się na wycieczkę w towarzystwie swego sternika. Wynajęli dwa muły i ruszyli w góry. Przed wieczorem wrócili i poszli do knajpy. Po kilku godzinach w drodze na statek spotkali jakiegoś mężczyznę. Blask lampy, padający z otwartego okna, oświetlił jego twarz.

— Do diabła! — zawołał kapitan. — Czy to był duch?

— Co za podobieństwo! — dodał sternik.

— Niech mnie diabli porwą, jeżeli to nie on! Chodźmy za nim,

Po kilkunastu krokach nieznajomy zatrzymał się przed domem położonym w ogrodzie i zadzwonił do drzwi. Po chwili ukazała się w nich piękna, młoda kobieta z lampą w ręce. Powiedziała z radością w głosie:

— Ach, więc to pan, senior Mariano? Dobry wieczór! Senior Sternau oczekuje pana.

— Do diabła, nie pomyliliśmy się! To on! — szepnął kapitan. — A ten Sternau napadł na nas koło Jamajki i wystrzelał wszystkich moich oficerów. Uratowałeś mi wtedy życie i dlatego zostałeś u mnie sternikiem.

— Do kroćset! Czy nie można by mu odpłacić za to? Mam na to cholerną ochotę!

— A ja nie tylko mam ochotę, ale schwywanie tego łotra jest dla mnie sprawą życia i śmierci. Uwaga! Wchodzą na werandę. Jazda, przez płot!

Schowali się w bujnie rozrośniętych krzakach. Na werandzie zsunięto razem dwa stoły i nakryto białym obrusem. Potem postawiono na nim lampę i talerz z owocami. Rozpoczęła się ożywiona rozmowa. Przy stole siedzieli Sternau, Mariano, Bawole Czoło, Niedźwiedzie Serce, Piorunowy Grot, kapitan Unger, Emma i Karia. Przybyli do Guaymas dopiero wczoraj, a ponieważ w porcie nie było statku, który mógłby ich zawieźć do celu podróży, wynajęli sobie prywatne mieszkania.

Z początku rozmowa toczyła się na tematy zupełnie dla podsłuchujących obojętne, aż wreszcie Emma spytała:

— Senior Sternau, co pan zamierza robić po powrocie do Meksyku?

— Chcę pojechać do Afryki. Będę tam szukał starego hrabiego Rodrigandy, brata mojego teścia.

— Więc przypuszcza pan, że hrabia jeszcze żyje?

— Mam nadzieję. Pani chyba słyszała o tej kanalii Enrique Landoli?

— O tym piracie, którego pan rozgromił koło Jamajki?

— To on właśnie uprowadził starego hrabiego do Afryki i wysadził na jednej ze wschodnich wysp. Wiem dokładnie, gdzie go mam szukać. Jeżeli nie umarł, jest w Hararze.

— I pan przypuszcza, że wtedy nareszcie będzie można ukarać Cortejów?

— Tak. Ale pomówmy o czymś weselszym. Dziś pisałem do żony. Nie chciałbym, aby wspomnienia o niej przysłoniły ponure myśli.

Rozmowa potoczyła się znów na obojętne tematy. Tymczasem na dworze trwała cicha dyskusja.

— Łajdak ten Sternau! — wycedził przez zęby kapitan, którym był nie kto inny, tylko właśnie Enrique Landola.

— Musimy go schwytać, master — zapalił się sternik.

— Choćbym miał życiem przypłacić. Ale jak się do tego zabrać?

— To się okaże. Przede wszystkim trzeba bliżej poznać tę całą kompanię.

— Mamy przecież ze sobą sztuczne brody i wąsy.

— Pan nie powinien ryzykować. Ale mnie nic nie grozi. Nikt z tych ludzi mnie nie zna. Już jutro zacznę ich szpiegować. Niech mnie diabli wezmą, jeżeli nie dopnę swego.

— Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze. Ale teraz uważaj, już się zegnają. Musimy pójść za Marianem i dowiedzieć się, gdzie mieszka.

Przeczekali, aż Mariano ich minął, i poszli za nim — każdy osobno — udając beztroskich spacerowiczów. Na wybrzeżu Mariano wszedł do jakiegoś domu.

Kapitan zwrócił się do sternika:

— Wiemy więc, gdzie mieszka i on, i doktor. Ale nie znamy jeszcze ich zamiarów.

— Dowiem się, niech pan będzie spokojny.

— Postaraj się o to jak najprędzej.

Następnego dnia sternik wstał o świcie. Sprzyjało mu wyjątkowe szczęście. Gdy wyszedł na pokład, zobaczył na przystani Sternaua i Mariana, którzy przyglądali się statkowi. — Dokąd płynie ten statek? — zapytał Sternau.

Sternikowi nagle przyszła do głowy myśl, która powinna była przynieść wielkie korzyści kapitanowi. Postanowił zrealizować ją, upewniwszy się jednak najpierw o zamiarach Sternaua. Dlatego odparł:

— Dlaczego pyta pan o to? Czy chcielibyście popłynąć z nami lub może powierzyć nam jakiś fracht?

— Mam zamiar udać się z kilkoma towarzyszami do Acapulco albo do jakiegoś innego

południowego portu.

— Hm — sternik udawał, że się namyśla — to by się dało załatwić. Zawiniemy do Acapulco.

— Ach, więc pan jest kapitanem?

— Tak jest.

— Kiedy pan wypływa?

— Jutro o świcie. Pasażerowie muszą być na pokładzie już dzisiaj wieczorem. Czy chcecie panowie wejść teraz na statek?

— Może za godzinę, dobrze? Wtedy omówimy szczegóły.

Sternau wolał obejrzeć statek w obecności kapitana Ungera jako bardziej doświadczonego w tej dziedzinie. Wrócił więc z Marianem do miasta. Sternik był z tego bardzo zadowolony. Załoga otrzymała odpowiednie polecenia, by z „Lady” usunąć wszystko, co mogłoby wzbudzić podejrzenia pasażerów. Gdy po pewnym czasie Sternau przybył w towarzystwie Ungera, przyjęto ich z wyszukaną grzecznością. Oględziny wypadły tak pomyślnie, że doktor zapłacił z góry za podróż.

Początkowo planowano, że Emma i Karia drogę do hacjendy del Erina odbędą lądem pod opieką Piorunowego Grota i wodzów indiańskich. Ponieważ jednak była to podróż niebezpieczna i wyczerpująca, zdecydowano, że kobiety również popłyną do Acapulco, stamtąd udadzą się do stolicy, a dopiero potem do hacjendy. Bawole Czoło i Niedźwiedzie Serce mieli pojechać lądem, by wcześniej przybyć do hacjendy i przynieść jej właścicielowi upragnioną wiadomość, że córka zdrowa i cała przybędzie wkrótce z Meksyku. Ostatni wieczór przed rozstaniem chcieli spędzić razem z przyjaciółmi na statku.

Landola, wysłuchawszy sprawozdania sternika, zacierał ręce z zadowolenia.

— Nie potrzeba mi ani sztucznej brody, ani przebrania.

Przyjdę na pokład, gdy będzie już ciemno. Wtedy zabierzemy się do nich.

— Czy mają żyć czy zginąć?

— Wolałbym wziąć ich żywych.

— Każdy z tych łotrów może stawić czoła kilku z nas.

— Napadniemy na każdego z osobna, Sternau jest najniebezpieczniejszy, jego więc przede wszystkim trzeba unieszkodliwić. — Chyba nie prędzej, niż obaj Indianie opuszczą statek?

— Nie opuszczą wcale, schwytamy ich razem z tamtymi, aby żywa dusza nie wiedziała, w jaki sposób wszyscy zniknęli. Potem ruszymy na zachód. Znam pewną samotną wyspę, do której nie zbliża się żaden statek. Tam ich wysadzimy. Będą mogli wyżyć na niej, jest tam bowiem źródłana woda i owoce. Ale wydostać się stamtąd nie można, zostaną więc naszymi jeńcami, jak długo zechcemy.

— Gdzie leży ta wyspa?

— Daleko od zwykłej drogi statków, pod czterdziestym stopniem szerokości. Lepsze to więzienie od warowni otoczonej Bóg wie jakimi murami. Wyspa nie ma nazwy, składa się z raf koralowych. Drzewa na niej rosną za małe, aby zbudować tratwę. A gdyby nawet to się jeńcom udało, nie mogliby na niej przepłynąć przez wzburzone fale, które dzień i noc walą o koralowy brzeg.

— Będziemy mieli jednak zbyt wielu świadków. Każdy z naszych ludzi może zdradzić tajemnicę.

Landola z politowaniem spojrział na sternika i powiedział wolno, z naciskiem:

— Nie będziemy mieli żadnych świadków. Tylko my dwaj opuścimy statek po powrocie z podróży.

Sternika przejął dreszcz grozy. Pomyślał, iż kapitanowi może wpaść do głowy, że i dwóch par oczu za wiele, toteż postanowił mieć się na baczności.

Wieczorem pasażerowie przybyli na pokład. Zostali przyjęci z wielkimi honorami. Obfitą kolację podano w kajucie kapitana. Kiedy ją jedli, Landola przystąpił do dzieła.

Mrok panował głęboki, na wodzie leżała mgła tak gęsta, że o trzy kroki nie było nic widać. Kilku najsilniejszych marynarzy stanęło na przednim pomoście, jeden zaś zszedł do kajuty. Tu ofuknął go domniemany kapitan:

— Czego tu szukasz, co?

— Przepraszam, senior kapitan. Przybył właśnie w łódce jakiś człowiek, który chce mówić z panem Sternauem.

— Ze mną? — zdziwił się Sternau. — Kto to taki?

— Powiada, że jest właścicielem domu, w którym pan mieszkał. Ma seniorowi coś do powiedzenia w cztery oczy.

— Dobrze, już idę.

Sternau wstał i poszedł za marynarzem. Ledwo weszli na pokład, dwie potężne łapy zacisnęły się na gardle doktora, równocześnie zaś otrzymał tak straszliwe uderzenie drągiem w głowę, że padł na ziemię nieprzytomny, nie jęknąwszy nawet.

— No, z tym sprawa załatwiona — rzekł półgłosem Landola. — Zwiążcie go i umieśćcie pod pokładem. Teraz sprowadźcie tego Indianina ubranego w bawołą skórę, mam wrażenie, że po doktorze to chyba najsilniejszy pasażer.

Po jakimś czasie marynarz zjawił się znowu w kajucie i powiedział do Bawolego Czoła, że Sternau prosi go na chwilę. Gdy Bawole Czoło nic nie przeczuwając, wyszedł na pokład, spotkało go to samo, co Sternaua. Po kilku minutach przyszła kolej na Niedźwiedzie Serce. Ponieważ nikt z nich nie wracał, Mariano wstał od stołu.

— Ciekaw jestem, co to za tajemnicza nowina. Muszę się dowiedzieć.

Opuścił kajutę. Obaj bracia, którzy pozostali z paniami i domniemanym kapitanem, na próżno czekali na jego powrót. Po chwili i oni wyszli, by zobaczyć, co to za ważne sprawy zatrzymują ich towarzyszy.

Minęło sporo czasu, wreszcie rozległy się kroki. W drzwiach stanął Landola. Emma i Karia popatrzyły na niego zdumione. Złożył im uprzejmy ukłon.

— Moje panie, bądźcie łaskawe pójść ze mną. Panowie chcą z wami mówić.

Nie przeczuwając nic złego, usłuchały. Na ciemnym pokładzie chwyciło je dwóch mężczyzn. Gdy krzyknęły z przerażenia, Landola skarcił je:

— Proszę milczeć i słuchać, co powiem. Panie i panowie, którzy wam towarzyszą, zachowaliście się tak wrogo w stosunku do mnie i moich przyjaciół, że muszę was trzymać pod strażą. Panowie są już ujęci, obecnie aresztuję was, moje panie.

— Jakim prawem?! — wykrzyknęła Indianka, szybko odzyskując zimną krew.

— Prawem silniejszego — uśmiechnął się. — Nie wiem, czy mnie panie znają? Nazywam się Landola.

— Landola, pirat morski — szepnęła przerażona Emma.

— Tak, we własnej osobie. Wszelki opór pogorszyłby tylko wasze położenie. Nie stanie się paniom nic złego, będziecie nawet mogły chodzić po pokładzie, oczywiście pod strażą. Ale jeżeli spróbujecie wyłamać się spod moich rozkazów, wasi towarzysze zginą. Nie zobaczą ich panie podczas całej podróży, leżą związani pod pokładem. Im także powiem, by nie próbowali nawet mi się opierać, w przeciwnym bowiem razie panie stracą życie.

— Co się stanie z nami wszystkimi? — zapytała Karia spokojnie.

— Wysadzę was na bezludnej wyspie. Po drodze włos wam z głowy nie spadnie. W zamian wymagam bezwzględного posłuszeństwa i zrezygnowania ze wszelkich prób ucieczki lub buntu. Teraz proszę za mną. Pokażę wam miejsce, gdzie będziecie przebywać podczas podróży.

Zaprowadził je po schodkach na dół do ciasnej kajuty i zamknął na klucz. Było tu zupełnie ciemno. Dziewczyny padły sobie w objęcia i tak przytulone pozostawały bez ruchu przez dłuższą chwilę. Okrutny los strącił je znowu ze szczytu szczęścia w potworną otchłań rozpacz.

Landola udał się do mężczyźni. Umieszczono ich nisko pod pokładem, gdzie balast piasku sięgał do wysokości trzech metrów. Ponieważ do najlepszego nawet statku dostaje się zwykle nieco wody morskiej, więc i tu piasek zwilgotniał. Leżeli na nim jeńcy. Byli związani łańcuchami przymocowanymi do pali okrętowych. Ręce i nogi mieli skrępowane mocnymi powrozami, tak że nie mogli ruszyć się z miejsca.

Gdy Landola zszedł do nich, przyświecając sobie latarką, która tutaj była potrzebna nawet i w dzień, stwierdził, że wszyscy odzyskali przytomność. Przeszukał ich, potem zaś usiadł obok Sternaua, który poznał go od razu.

— Senior Sternau, czy przypomina' mnie pan sobie? — zapytał.

Sternau zamknął oczy.

— Ach tak, nie chce mnie pan widzieć? — szydził Landola. — No, trudno! Ponieważ jednak inni panowie mnie jeszcze nie znają, powiem, że nazywam się Enrique Landola i jestem kapitanem sławnej „La Pendoli”. Niektórzy nazywają mnie Grandeprisem ze statku „Lion”. A więc przedstawiłem się. Mam nadzieję, że słyszeli o mnie panowie, co?

Panowało głucho milczenie.

— Niech i tak, będzie — rzekł pirat. — Jestem pewien, że to tylko strach odebrał wam mowę, dlatego też chcę seniorom zakomunikować, jakie mam wobec was zamiary. — Gdy i teraz nikt nie odpowiedział, obrzucił jeńców złośliwym spojrzeniem i ciągnął dalej: — Polecono mi unieszkodliwić was wszystkich. Nareszcie jesteście w mojej mocy i mógłbym was bez wysiłku pozabijać. Postanowiłem jednak nie czynić tego, nie przez litość, tej słabości bowiem Enrique Landola nigdy nie okazywał, ale ze względu na zwykłe wyrachowanie. Za schwytanie was czeka mnie wielka nagroda. Nagroda może mnie jednak ominąć, gdyby ten, kto mi ją obiecał, nie mógł upewnić się, że wypełniłem polecenia. Jeżeli więc daruję wam życie i ukryję tylko, w razie potrzeby będziecie żywym dowodem, że zrobiłem, co mi kazano. Gdy mój mocodawca zapłaci mi, będziecie musieli zginąć bez wieści, jeżeli zaś nie zapłaci, wrócę i uwolnię was, ale pod warunkiem, że otrzymam od was wynagrodzenie i zobowiązacie się zaniechać zemsty. Widzicie, że nie chcę waszej zguby, przeciwnie, możecie przy pewnych okolicznościach liczyć nawet na uwolnienie. Dlatego przypuszczam, że będziecie rozsądni i zrezygnujecie z jakiegokolwiek próby ucieczki. Przyniosłoby to wam tylko szkodę. Obie panie są również schwytane. Będą traktowane godnie, tak samo jak wy, ale za każdą próbę nieposłuszeństwa jednej strony druga zapłaci życiem, za to ręką słowem.

Przerwał, chcąc zorientować się, jakie wrażenie słowa te wywarły na jeńcach. Ale nie doczekał się żadnej reakcji.

— Komunikuję wam jeszcze, że będziecie leżeli tutaj przez całą drogę. Codziennie dostaniecie posiłek. Abyście zjeść mogli, majtek rozwiąże wam ręce. No, to wystarczy. Nie zapominajcie, że macie do czynienia z człowiekiem, który za najmniejsze nieposłuszeństwo karze śmiercią. Życzę dobrej nocy!

Wstał i wyszedł, zamykając za sobą drzwi na ciężkie, żelazne rygle.

Przez kilka minut w komorze panowała cisza. Słyszał tylko, jak po podłodze biegają okrętowe szczury, zwykli goście pod pokładami statków. Wreszcie Apacz westchnął:

— Uff!

— Uff! — zawtórował mu Bawole Czoło. Znowu zapanowało milczenie, tym razem krótkie.

— Co ty na to, Carlosie? — zapytał Mariano. Sternau odpowiedział pytaniem:

— Czy nie mógłbyś w nocy uwolnić się z łańcucha?

— To niemożliwe! Łańcuch za mocny. A zresztą, mamy przecież skute ręce i nogi.

— W takim razie musimy się poddać.

Choć głos jego był spokojny, wszystko w nim wrzało, tylko duma nie pozwalała mu tego okazać. I on, i jego towarzysze już nieraz patrzyli śmierci w oczy. Nie mieli zwyczaju biadać, wiedzieli, że tylko spokój i jasny umysł może im pomóc. Ale teraz sytuacja wydawała się beznadziejna.

Wreszcie odezwał się Bawole Czoło:

— Ten zbój jest zgubiony, jeżeli Karii, siostrze wodza Miksteków, choć jeden włos spadnie z głowy.

— Czekająby go wówczas najstraszniejsze męki — dodał Apacz.

— Niech ich piekło pochłonie, jeżeli choć w naj mniejszym stopniu uchybią Emmie! — zawołał Piorunowy Grot. — Nie zginiemy chyba na tym przeklętym statku!

— To się okaże — Sternau zawsze był realistą. — Ale proszę powiedzieć, w jaki sposób pana napadnięto? Czy schwycono seniora za gardło, czy uderzono w głowę?

— Złapano mnie za gardło.

— Może pan to uważać za szczęście. Cios w ledwo zagojoną ranę byłby śmiertelny. Ale nie narzekajmy teraz i nie wygrażajmy, a zastanówmy się. Czy naprawdę żaden z nas nie może się uwolnić z łańcuchów? Ja już próbowałem. Jestem tak mocno przykuty, że nie uda mi się odkręcić żelastwa.

W ciemności przez długie minuty słychać było szczeł łańcuchów. Wszystkie wysiłki okazały się jednak daremne.

— Musimy zdać się na czas — powiedział Mariano.

— Jest przeciwko nam — zaproponował Sternau. — Ten człowiek na pewno wypłynie w nocy na morze. A wtedy będziemy jeńcami tak długo, dopóki nie raczy nas zabić lub wysadzić na bezludnej wyspie. W drodze będziemy musieli walczyć nie tylko z ludźmi, ale i z naturą. Jedyna nasza szansa to dostarczenie przez Emmę i Karię odpowiednich narzędzi, za pomocą których moglibyśmy się uwolnić z łańcuchów. Ale nie zrobią tego, nawet gdyby mogły, bo będą się bać, że narażą nas na śmierć. Nic nam więc nie pozostaje, jak cierpliwie znosić tuda próbę i ufać Bogu, że nas nie opuści!

Te słowa, pełne siły i przekonania, dodały jeńcom otuchy. Znowu zapadła głęboka cisza. Od czasu do czasu słychać było tylko ocieranie się łańcuchów o piasek. Wkrótce jeńcy zasnęli. Obudzili się dopiero wtedy, gdy odpryski fal morskich zaczęły do nich docierać. Był to znak, że statek opuścił przystań. Dokąd ich niósł, nie mieli pojęcia.

Jakimi słowami opisać dnie, tygodnie spędzone w ciemnej norze pod pokładem? Jak oddać przeżycia jeńców? Jak przekazać cierpienia obu kobiet? Choć mogły zażywać powietrza i światła, brak im było wiary, którą mieli mężczyźni, że dzień wyzwolenia musi nadejść.

Po długiej, nieskończenie długiej podróży, podczas której nie zatrzymywano się ani razu, fale zaczęły pewnego dnia uderzać o pokład coraz wolniej. Dał się słyszeć zgrzyt kotwicy, nastąpiła cisza, po czym rozległ się odgłos kroków.

— Teraz rozstrzygną się nasze losy — rzekł Sternau. — Wszystko lepsze od niepewności.

Otworzono drzwi. Wszedł Landola z marynarzami.

— Zdjąć łańcuchy! — rozkazał. — Ale związać ich tak, aby nie mogli ani stanąć, ani ruszać rękami.

Zaniesiono jeńców na pokład i ułożono jak kloce. Po raz pierwszy od wielu dni oddychali czystym powietrzem. Nie głodowali wprawdzie, nie dręczyło ich pragnienie, ale od długich tygodni nie mogli się umyć, a ubrania ich prawie stęchły od wilgoci. W pobliżu stały obie dziewczyny. Były

również związane.

Po prawej stronie szumiało morze, po lewej zaś ujrzeli wyspę otoczoną rafami koralowymi, o której brzegi gwałtownie biły spienione fale. Wśród raf było tylko jedno miejsce, przez które mógł przepłynąć spory statek. Jeńcy nie interesowali się wyspą. Przyglądali się załodze, która z kapitanem na czele zebrała się na pokładzie.

Landola zwrócił się do jeńców:

— Jesteśmy więc u celu, panie i panowie, wyspa ta będzie waszym mieszkaniem. Nie dowiedcie się nigdy, jak się nazywa i gdzie znajduje; nikt nie może was o tym poinformować, wyspa bowiem leży daleko od szlaków morskich i nikt jej nie odwiedza. Nie zginiecie z głodu, nie skonacie z pragnienia, są tam bowiem dwa źródła, owoce, ryby, ptaki i dzikie zwierzęta. Broni, którą wam zabrałem, nie otrzymacie z powrotem, ale możecie zastawiać sidła lub zrobić sobie łuki i strzały, by zdobyć żywność i skóry na ubrania. Jak już powiedziałem, może się jeszcze zobaczymy. Moi ludzie zawiozą was tam teraz. Gdy się oddalą, będziecie mogli za pomocą ostrych kamieni . uwolnić się z więzów. Bądźcie zdrowe, senioritas, bądźcie zdrowi, seniores!

Marynarze załadowali jeńców do dwóch łodzi i odepchnęli je od statku. Udało im się szczęśliwie przepłynąć przez wzburzone fale. Ułożyli jeńców na brzegu, po czym zawrócili.

Sternau bezzwłocznie zaczął trzeć o rafę sznury krępujące mu ręce i nogi. Czynił to tak długo, aż je oswobodził.. Inni poszli w jego ślady. Wkrótce wszyscy mogli się poruszać.

Bawole Czoło wskazał dłonią na statek.

— Czy bracia moi wierzą w to, że uda nam się zdobyć wielkie canoe wrogów?

Mimo tragizmu położenia Sternau uśmiechnął się i powiedział:

— To niemożliwe.

Bawole Czoło wskazał teraz ręką na niespokojne, wzburzone morze.

— Czy bracia moi boją się tych fal? Wódz Miksteków przepłynie każdą wodę.

— Ale zanim wypłynie, statku już nie będzie, Oto naciąga żagle. Rusza. Jaki pływak go dopędzi?

Stało się tak, jak Sternau przewidział. Statek miał dobre żagle i wkrótce stracili go z oczu.

Kapitan Landola stał na górnym pokładzie i przyglądał się wyspie przez lunetę. Gdy już nie był w stanie rozpoznać jej konturów, odłożył lunetę i rzekł do sternika:

— Sprawa załatwiona. Ci ludzie mi nie umkną.

— Jest pan pewny? A gdyby jednak udało im się uciec?/p>

— To się nigdy nie uda. Oni już nie sprawią mi żadnych kłopotów. Ale ci tutaj... — wskazał na marynarzy.

— Trzeba zastosować odpowiednie środki.

— Uczynimy to. Steruj na północny zachód. Chcę przybić do wyspy Pitcairn.

— Aha! — mruknął sternik. Widać było, że zrozumiał, dlaczego jego kuty na cztery nogi przełożony taki właśnie obrał kierunek. Muszę się mieć na baczności, pomyślał.

Dopłynęli szczęśliwie do Pitcairn. Kapitan udał się na ląd na swym małym gigu. Wrócił poirytowany.

— Nie udało się — poinformował sternika. — Chciałem skompletować nową załogę. Ale to musi potrwać. Trzeba będzie tu pozostać kilka dni, a tego nie miałem w planie.

— Może ja się tym zajmę, jeśli pan pozwoli? — zaproponował sternik.

Chciał zejść ze statku. Landola dał mu wyraźnie do zrozumienia, że pragnie usunąć świadków przestępstwa. A przecież on był najniebezpieczniejszym świadkiem, bo — w przeciwieństwie do reszty załogi — znał położenie geograficzne tajemniczej wyspy. Uświadomił więc sobie, że życiu jego grozi niebezpieczeństwo.

Landola uśmiechnął się, jakby mu kamień spadł z serca, i odpowiedział:

— To byłoby najlepiej. Zabierz ze sobą jeszcze kilku ludzi, powiedzmy czterech. I nie zapomnijcie o broni. Z mieszkańcami wyspy nie ma żartów.

Kiedy sternik odszedł, usta kapitana wykrzywił szyderyczy grymas.

— Ten łotr przejrzał mnie. Ale wyprowadziłem go w pole. Nigdy nie miałem zamiaru wymieniać załogi. Lepszej nie znajdę. Te bestie mają tak nieczyste sumienie, że zrobią wszystko, co zechcą.

Poszedł za sternikiem do jego kajuty. Ten wkładał właśnie nową marynarkę, przybraną srebrnymi guzikami, na których wryta była kotwica. Na małym stoliku obok leżał rewolwer.

— Naładowany? — zapytał Landola, biorąc go do ręki. Sternika tknęło złe przeczucie.

Chwyciwszy kapitana za

ramię, zawołał:

— Uwaga, kapitanie! Nie wolno żartować z tą sztuką!

— Ani mi w głowie żarty!

Pociągnął za cyngiel. Kula przeszła oko i utkwiała w mózgu. Padł martwy. Kapitan skoczył na pokład i wszczął alarm.

— Sternik się zranił! Obchodził się nieostrożnie z bronią!

Cała załoga zbiegła na dół i stwierdziła, że sternik nie żyje. Kto teraz zostanie jego następcą? Niejeden miał na to chrapkę. Trupa wpakowano do worka i wrzucono do wody.

W ten sposób Landola pozbył się głównego świadka, który dzięki fachowym wiadomościom żeglarskim mógłby odnaleźć samotną wyspę. Ponownie zwołał załogę i oświadczył, że teraz dopiero przystępuje do dzieła na wielką skalę.

— Uważają nas za zwykłych kupców, i niech tak będzie. Dopiero z biegiem czasu dowiedzą się prawdy. Dlatego trzymajcie język za zębami i miejcie się na baczności.

Landola dobrze traktował załogę. Pozyskał ją całkowicie dla swego pirackiego procederu. Jeszcze przez kilka lat niepokoił wybrzeża morskie, aż wreszcie zdobyte krwią bogactwo pozwoliło mu na wycofanie się z interesu.

PANTERA POŁUDNIA

Podczas gdy Enrique Landola wioził swych jeńców przez Ocean Spokojny, aby skazać ich na najgłębszą samotność i zapomnienie, najbliżsi wypatrywali ich niecierpliwie. Lord Dryden i Amy daremnie czekali w Meksyku na jakiegokolwiek wieści od Mariana. Nawet Pablo Cortejo i córka jego Josefa nie mieli pojęcia o losie swych wrogów.

Mijały bez wieści tygodnie, miesiące. W Meksyku toczyła się między partiami walka o władzę. Normalne życie uległo zakłóceniu. O stałej komunikacji nie mogło być mowy.

Prezydent Herrera, zwalczany przez Juareza, ustąpił w roku 1850. Jego następcy rządili bardzo krótko. Skażany niegdyś na banicję wybitny działacz partyjny Santa Anna powrócił w roku 1853 z wygnania, lecz zaledwie ujął ster rządów w swe ręce, został powtórnie obalony i znowu musiał uciekać za granicę. Obalił go Juan Alvarez — również jak Benito Juarez Indianin — którego ze względu na krwawe czyny, jakimi się wsławił, zwano Panterą Południa.

Alvarez, człowiek okrutny, lecz gorący patriota, złożył dobrowolnie prezydenturę w roku 1855, a miejsce jego zajął Ignacio Comonfort. Za jego rządów Juarez został ministrem spraw wewnętrznych i prezydentem Najwyższego Trybunału, tym samym wiceprezydentem republiki. Przeciwnikiem Comonforta był generał Miguel Miramon, który później zdradził kraj przechodząc na stronę cesarza Maksymiliana.

Był rok 1857. Minęło dziewięć lat od czasu, gdy Sternau, Mariano i Unger opuścili Meksyk.

Od północy przybył do stolicy jakiś jeździec okryty kurzem. Widocznie odbył długą, uciążliwą drogę. Za nim jechało kilkunastu vaquerów, znacznie młodszych od niego. Podobnie jak ich przywódca uzbrojeni byli od stóp do głów. Prowadzili ze sobą muła, który dźwigał starannie opakowany ładunek, nieduży, ale bardzo ciężki.

Mężczyzna, jadący przodem, minął kilka ulic i zatrzymał się przed pałacem Najwyższego Trybunału. Tam zsiadł z konia i zapytał odźwiernego, czy może mówić z ekscelencją Benito Juarezem. Odźwierny obrzucił przybysza lekceważącym spojrzeniem i odpowiedział:

— Dla seniora go nie ma.

— Dlaczego to?

— Czy rozkazał panu, abyś dzisiaj do niego przyjechał?

— Nie.

— Musi pan więc czekać. Bez meldowania przyjmuje tylko przyjaciół.

— W takim razie mnie przyjmie z pewnością. Słowa te spowodowały, że służący zmienił ton.

— Jak się senior nazywa? — zapytał uprzejmie.

— Pedro Arbellez. Jestem właścicielem hacjendy del Erina.

— Ach tak, to co innego. Niech pan wybaczy, ale pański wygląd wprowadził mnie w błąd. Muszę chronić mojego pana przed zbyt licznymi wizytami. Cały świat chce z nim mówić, bo tylko u niego można znaleźć sprawiedliwość. Niech senior wejdzie, a służba zatrzyma się na dziedzińcu.

Vaquerzy wjechali na podwórze. Odźwierny zaś zaprowadził Arbelleza do przestronnego pokoju, który miał tylko jedno okno. Wisiały tam dwa hamaki. Na stole stały przybory do pisania i leżał stos papierów. W jednym z hamaków siedział Benito Juarez, najwyższy sędzia kraju. Podniósł się na widok gościa i rzekł:

— Witaj, senior Arbellez. Nie widziałem pana od dziewięciu lat, kiedy to dałem panu w dzierżawę hacjendę Vandaqua. Co mi senior przynosi?

— Czynsz dzierżawny, senior. Oprócz tego mam do pana wielką prośbę.

— Czy to sprawa osobista?

— Nie. Przychodzę do seniora jako do sędziego.

— Zostanie pan wysłuchany, ale najpierw muszę załatwić sprawę tego tu seniora — wskazał na mężczyznę.

— Proszę odłożyć przybory do pisania na podłogę i usiąść na stole. Niestety, nie ma innego miejsca.

Mężczyzna, o którym mówił Juarez, siedział w drugim hamaku. Był w średnim wieku, twarz miał zarośniętą i ciemne, przenikliwe oczy.

— A więc, senior — zwrócił się do niego sędzia — kazałem pana przyprowadzić tu z więzienia, aby jak najszybciej załatwić pańską sprawę. Jak długo jest pan w areszcie?

— Od trzech tygodni, senior.

— Tak długo? Muszę pouczyć panów sędziów, aby okazywali obywatelom więcej szacunku. Wyrok jeszcze nie zapadł?

— Niestety, nie. Wierzę jednak, że będę z niego zadowolony.

— Jestem o tym przekonany. Nie skrzywdzę nikogo. A więc chodzi o strzał?

— Tak jest.

— Czy był celny?

— Trafił tę kobietę prosto w głowę.

— W takim razie jest senior dobrym strzelcem. Cieszy mnie to, gdyż dobrzy strzelcy są w tych ciężkich czasach wysoko cenieni. Dlaczego strzelał pan do tej kobiety?

— Ponieważ powiedziała mi, że wyjdzie za mąż za innego. Prosiłem grzecznie, aby się opamiętała a, ale nie chciała ustąpić, więc ją zabiłem.

— No tak, to jasne. Nie chciała pana, więc senior do niej strzelił. Każdy musi ponosić konsekwencje swoich czynów. Pański papieros się skończył, czy mogę służyć następnym?

Podał gościowi papierosa, ten zapalił, Juarez zaś mówił dalej:

— Ojciec tej kobiety zawiadomił, niestety, władze, stąd cała sprawa. A więc senior przyznaje, że ją zastrzelił?

— W takim razie zaraz wydam wyrok. Za morderstwo przewidziana jest kara śmierci, będzie więc pan rozstrzelany. Zgoda?

Mężczyzna szeroko otworzył oczy. Nie spodziewał się takiego werdyktu. A już całkowicie zbił go 2 tropu ton miłej pogawędki, jakim Juarez prowadził śledztwo.

— Ależ ekscelencjo! Mam wrażenie...

— Pst! — przerwał Juarez. — To sprawa bezsporna. Między prawdziwymi mężczyznami nie może być w takiej prostej, jasnej sprawie żadnej kwestii. Zastrzelił ją pan, więc zostanie senior rozstrzelany. Każdy musi ponosić skutki swoich czynów, jak powiedziałem przed chwilą. Czy da mi pan ognia, bo mój papieros już zgasł?

Zapalił papierosa od papierosa mordercy i zagwizdał dwa razy. Natychmiast zjawili się policjanci.

— Dajcie mi arkusz papieru i pióro — rozkazał. Rozłożył papier na kolanach i napisawszy na nim kilka

słów, podał mordercy. — Niech pan czyta, oto wyrok! Morderca był trupio błądy.

— Ekscelencjo, prosiłbym jednak...

— Pst! — Juarez uśmiechnął się z pobłażliwością. — Skarżył się senior przed chwilą, że czekał trzy tygodnie, musiałem więc czym prędzej wymierzyć mu sprawiedliwość. A więc natychmiast, nieprawdaż, senior? Czy papieros pański jeszcze się pali?

— Tak, dziękuję — wyjąkał tamten.

— Doskonale! Niech mi senior wybaczy, że nie mam już dla niego czasu. Adios! — uklonił się uprzejmie. Tamten uczynił to samo, po czym policjanci wyprowadzili go z pokoju.

Po chwili rozległ się odgłos kilku strzałów. Juarez rozciągnął się na hamaku i rzekł:

— Nie żyje. Co pan powie o mojej metodzie sądowej, senior Arbellez?

Zapytany, który śledził przebieg całej sprawy z niezwykłą uwagą, odparł:

— To w każdym razie metoda niezwykła.

— Ale i praktyczna, mój drogi Arbellez. Wymiar sprawiedliwości musi być naprawdę sprawiedliwy, przyjazny i szybki. Ale dość już o tym. A więc przywozi pan czynsz za dzierżawę?

— Tak. Zaraz go przyniosę.

— Nie spiesz się, senior. Po rozmowie. A teraz przejdźmy do pańskiej sprawy.

— Uprzedzam, ekscelencjo, że z nią nie pójdzie tak szybko, jak z wyrokiem śmierci.

— Nie szkodzi. Każda przecież sprawa wymaga innego czasu. Z czym więc przychodzi senior do mnie jako do sędziego?

— Błagam o sprawiedliwość dla mnie i dla bliskich.

— Kogo senior oskarża?

— To długa historia. Ale cierpiałem i cierpię tyle, że mam śmiałość prosić, by mnie ekscelencja wysłuchał.

— Mów — rzekł najwyższy sędzia. — Wysłucham cię do końca. Może zapalisz papierosa?

— Nie mogę. Jestem zrozpaczony, łzy mnie dławią.

— Właśnie dlatego powinieneś zapalić. Papieros cię uspokoi i łatwiej ci będzie wszystko mi opowiedzieć. A ja jako sędzia łatwiej będę mógł wyrobić sobie zdanie o tej sprawie. Oto papieros i ogień.

Arbellez długo opowiadał o przeżyciach swoich i swych bliskich.

— Przez dziewięć lat czułem się bezradny — zakończył. — Nie miałem się do kogo zwrócić. W Meksyku nie było sprawiedliwości. Ale teraz jest, bo pan sprawuje urząd najwyższego sędziego.

Juarez słuchał uważnie, w milczeniu. Podniósł się z hamaka i zaczął chodzić po pokoju, coś rozważając. Wreszcie stanął przed hacjenderem i rzekł:

— Gdyby to nie pan, senior Arbellez, opowiadał mi tę historię, nie uwierzyłbym w nią. Ponieważ jednak uważam cię za uczciwego człowieka, ufam, że mówisz prawdę i przyrzekam pomoc. Nie wiem jeszcze na czym będzie ona polegać, muszę wszystko dokładnie zbadać i przemyśleć. Ale już dziś przyrzekam solennie, że to całe haniebne sprzysiężenie zostanie wykryte, a sprawcy poniosą karę. Czy zostanie pan tu jeszcze jakiś czas?

— Zatrzymam się u sir Drydena.

— Dlaczego właśnie u niego?

— Do niego również mam prośbę. Jak już mówiłem, Piorunowy Grot, narzeczony mojej córki, otrzymał dar ze skarbu Miksteków. Brat jego, mieszkający w Niemczech, ma bardzo utalentowanego syna. Piorunowy Grot postanowił, że chłopiec otrzyma połowę skarbu. Z powodu niespokojnej sytuacji, jaka panowała w naszym kraju w ostatnich latach, nie mogłem mu dotąd posłać tego daru. Ale teraz nie sposób już zwlekać. Dorastającemu chłopcu spadek może się bardzo przydać. Dlatego wziąłem skarby ze sobą i przywiozłem tutaj. Poproszę lorda, aby je przesłał do Europy.

— Gdzie mieszka ten chłopiec?

— W Moguncji, na zamku, którego nazwę zapomniałem. Będzie go jednak łatwo odnaleźć, należy bowiem do kapitana i leśniczego von Rodensteina.

— Proszę zostawić skarb u mnie. Gdyby lord go wysłał, nie przepuściliby go nasi celnicy. Jeśli ja to zrobię, nie znajdzie się ani jeden Meksykanin, który by tknął klejnoty. Zastosuję wszystkie

środki ostrożności i prześle je do banku w Moguncji. Bank już znajdzie adresata.

— Bardzo jestem panu wdzięczny, senior. Kamień mi spadł z serca.

— Jak się nazywa chłopiec?

— Kurt Unger. Ojciec jego jest kapitanem statku.

— Zapisz to sobie. Proszę, by senior zamieszkał u mnie, nie u tego Anglika. Zapewne nieraz będziemy musieli pomówić o całej sprawie. Każę panu przygotować wygodny pokój. Sir Dryden nie weźmie nam tego za złe. Może go pan przecież odwiedzać. Niech senior przyniesie skarb, a razem z nim i czynsz dzierżawny.

Hacjendero wniósł z vaquerami pakunki do pokoju.

W jednym był czynsz dzierżawny w złocie. Najwyższy sędzia pokwitował odbiór. W drugim klejnoty załśniły wszystkimi barwami tęczy. Benito Juarez wydał okrzyk podziwu:

— O Dios! Co za cuda!

Po chwili dodał z ponurą miną:

— Ten skarb, ukryty w pieczarze królów, mógłby uszczęśliwić Meksyk, ale mieszkańcy jego nie są tego warci. Wódz Miksteków ma rację. Niech tajemnica zginie wraz z jego śmiercią. Więc to tylko połowa skarbów, które otrzymał narzeczony pańskiej córki?

— Tak.

— Czy drugą połowę ukryto bezpiecznie?

— Tak. Zakopana, leży w miejscu, którego nikt nie odnajdzie.

— A tę część chcecie naprawdę wysłać do Europy? I ma ją otrzymać chłopiec, który nie zna wartości skarbu i nie potrafi go spożytkować.

— To już nie moja sprawa. Muszę być posłuszny woli Piorunowego Grota. Jeżeli powróci, pochwali mnie z pewnością za to.

Juarez podszedł do stołu, otworzył szufladę i wyciągnął jakąś książkę. Zawierała spis miejscowości, nazwisk, instytucji, kursy akcji i papierów wartościowych. Przeglądał ją kilka minut, po czym powiedział: — Oto Moguncja. W indeksie figuruje dom bankowy Voigot—Wallner. Wyślę tam paczkę. Jestem przekonany, że bank odszuka adresata. Czy chce pan dołączyć do przesyłki list?

— Ach, senior, pisanie przychodzi mi teraz bardzo ciężko. Wyręczy mnie miss Amy. — Przynieś, senior, list jeszcze dzisiaj, chciałbym wysłać skarb jutro. Dam mu wyborową eskortę. Sporządzimy teraz wykaz szczegółowy, potem dostanie pan kwit, że odebrałem skarb z pańskich rąk.

Po tych uzgodnieniach hacjendero poszedł do swego pokoju. Odpocząwszy po trudach podróży, pośpieszył do lorda Drydena. W mieszkaniu zastał tylko miss Amy, która przyjęła go z niekłamana radością.

— Co za niespodzianka, senior Arbellez! Jakie wieści mi pan przynosi? Czy są nowiny?

— Od czasu mego ostatniego pobytu u pani żadnych. Opowiem pokrótce, po co tutaj przybyłem.

Usiadł i zaczął opowiadać. Amy słuchała uważnie. Oboje zachowywali się tak, jakby byli w pokoju sami. Tymczasem w hamaku siedziała dziewczyna, która przed przybyciem Arbelleza czytała coś Angielce. Była to duenia, dama do towarzystwa miss Amy. Ładna dziewczyna była Metyską, czyli córką białego ojca i matki Indianki.

Miała oczy spuszczone i udawała, że zajęta jest wyłącznie książką. Ale bystry obserwator spostrzegłby z pewnością, że słucha słów Arbelleza z natężoną uwagą. Od czasu do czasu zerknęła na nich. Spojrzenie jej miało w sobie coś z drapieżnego zwierzęcia, które rzuciłoby się chętnie na ofiarę, gdyby nie wstrzymywał je strach. Znawca ludzi nie miałby zaufania do tej dziewczyny.

W tym samym czasie w innym domu prowadzono rozmowę na ten sam temat. Domem tym był pałac hrabiego Rodrigandy. W jednym z pokoi leżała w hamaku Josefa Cortejo. Lata, które

minęły, nie złagodziły jej brzydoty. Schudła jeszcze bardziej, jeżeli w ogóle mogła schudnąć. Była w złym humorze. Gdy służąca weszła, aby ją uczesać, Josefa nie odpowiedziała na uprzejmy ukłon. Była to Amaika, ta sama Indianka, która służyła u Josefy przed laty. W milczeniu zaczęła ubierać swą panią. Po jakimś czasie Josefa zapytała:

— Czy rozmawiałaś z córką?

— Nie.

— Dlaczego?

— Nie mogę przecież pójść do niej, to by nas zdradziło. A u mnie dotychczas nie była.

— Widzę, że obie jesteście opieszale. Dowiaduję się, że Amy Dryden poszukuje duenii, nie cofam się przed wydatkami i kłopotami, aby polecić twoją córkę, ku mojej radości plan się udaje, dziewczyna jest przyjęta, a tymczasem gdy czekam na wiadomość od niej, nie ma jej!

— Niech seniorita będzie spokojna. Przyjdzie na pewno — służąca uspokajała panią. — Proszę pamiętać, że ona musi naprzód wkraść się w łaski tej Angielki.

— Wiem o tym. Ale służy u niej już dość długo i mogłaby wreszcie czymś się wykazać. Ta Amy musi zniknąć albo umrzeć. Gdybym tylko wiedziała, co się stało z Lautrevillem i jego kompanią! Słyszę kroki ojca. Przynosi mi pewnie gazety.

Stara wyszła. Na progu spotkała Corteja. Ten upewnił się najpierw, że Ameika odeszła i nie podsłuchuje pod drzwiami, po czym wszedł do pokoju córki. Zaskoczył ją rozpromieniony wyraz jego twarzy. Zauważywszy, że w ręku trzyma opieczętowany list, zapytała prędko:

— List? Od kogo? Czy to wiadomość, na którą czekamy?

Wyciągnęła rękę, lecz Cortejo odsunął ją, podniósł list wysoko do góry i zawołał triumfującym głosem:

— Wygrana, nareszcie wygrana! Teraz możemy być spokojni!

Po czym wręczył list drżącej ze zniecierpliwienia Josefie.

— Bierz i czytaj! Największa to radość i satysfakcja, jakiej doznałem w życiu.

Josefa nie mogła usiąść z przejęcia. Chodząc po pokoju czytała:

Drogi bracie!

Nareszcie, po długich latach, mogę Ci zakomunikować niezmiernie ważną wiadomość. Wczoraj był u mnie Landola. Otóż mieszka już od dłuższego czasu w Hiszpanii, o czym nie wiedziałem. Dotąd żył z pieniędzy zdobytych podczas ostatnich wypraw, ale teraz nie ma już nic — wszystkie przepuścił do ostatniego grosza — i zwrócił się do mnie po nowe. Przed laty spotkał w porcie Guaymas Sternaua, Mariana, dwóch Niemców nazwiskiem Unger i dwóch Indian, z których jeden zwie się Bawole Czolo, drugi zaś Niedźwiedzie Serce. Ponadto były z nimi dwie dziewczyny — siostra Bawolego Czola i Emma, córka Pedra Arbelleza, hacjendera w del Erina.

Osoby te chciały się dostać morzem do Acapulco. Nie znaly kapitana. Przyjął wszystkich na swój statek, aby ich zawieźć do tego portu. Na statku związał całe towarzystwo. Od dziewcząt dowiedział się, że uszli szczzpanśliwie z rąk Verdoja, któremu polecił ich zabić. Pierwszego wieczora podróży, gdy wszyscy byli pogrążeni we śnie, a na pokładzie przechadzał się tylko jeden wartownik, Landola podłożył lont pod ładunek prochu, mieszczący się na statku, i po kryjomu odjechał na małej łódeczce. Statek wyleciał w powietrze i poszedł na dno, zatapiając załogę i podróżnych. Kapitan przekonał się o tym naocznie. Nikt nie uszedł z życiem. Przez ten śmiały czyn Lando/i jesteśmy wolni od wszelkich trosk. Postaram się wrócić jeszcze przy okazji do tego tematu.

Twój brat Gasparino Cortejo.

Josefa wypuściła list z ręki. Była trupio blada. Nie wiadomo czy ze strachu, czy z radości.

— A więc zginęli wszyscy! O Dios! A więc i on! — triumfowała.

— On? Kto taki?

— Prawdziwy Alfonso, zwany Marianem.

— Tak. Pozbyliśmy się ich na zawsze. Myśl o nich nie dawała mi spokoju. Teraz już nareszcie nie mam się czym martwić. Mogę przystąpić do realizacji moich planów.

— Twoich planów? Cortejo uderzył się w piersi.

— Milczałem dotychczas, ale dzisiaj wyjawię ci wszystko. Jak ci wiadomo, mamy teraz dwóch prezydentów. Ale tak długo trwać nie może, kraj wymaga jednolitego rządu. Musi znaleźć się więc człowiek, który posiadałby środki do przekupienia swych przeciwników. Zostanie prezydentem i będzie rozporządzał wszystkimi bogactwami kraju. Tym zaś człowiekiem będę ja.

— Ty? — Josefa nie ukrywała zdumienia.

— Tak, ja! Może cię to dziwi? Bratanka swego uczyniłem hrabią Rodrigandą, brata zarządcą jego majątków. Fortuna Rodrigandów warta jest miliony. Czy mam odejść z pustymi rękami? Nie, muszę zatrzymać ich meksykańskie posiadłości. Przedstawiają wartość ośmiu milionów pesos. Pertraktuję już od dawna z Panterą Południa. Za milion mogę rozporządzać nim i jego ludźmi. Mamy się spotkać w tych dniach. Może przybędzie nawet dziś wieczorem. Zwolennikami jego są wszyscy mieszkańcy gór oraz wolni Indianie z Południa. Kiedy dam mu milion, rozpocznie werbunek i zjawi się w mieście na czele ponad dziesięciu tysięcy ludzi. Benito Juarez zostanie schwytany i zabity. Z pozostałymi pójdzie jak z płatka.

Oczy Josefy płonęły zachwytem.

— Snię chyba! Ja, Josefa Cortejo, od której inni odsuwają się dumnie, mam zostać córką prezydenta, pierwszą damą tego kraju! Och, pokażę ja tym wszystkim, którzy teraz wyobrażają sobie, że stoją nade mną! Zapłacą mi za swoją pychę wszyscy, wszyscy!

Cortejo patrzył na nią z dumą.

— Taką ciebie lubię słuchać i oglądać. Wtedy wiem, że płynie w tobie krew Cortejów. Nasz ród zawsze pognebiał naszych władców i mścił się na ciemieżcach. Kim jest mój brat, kim fałszywy Rodriganda wobec mnie i ciebie? Będę panem kraju. Stworzę z Meksyku dziedziczne królestwo, jedynym kandydatem na męża dla ciebie będzie potomek królewskiego rodu.

— Ach, gdyby się tak stało! A więc chodzi o milion?

— Tak, o okrągły milion.

— Skąd wziąć tę ogromną sumę, zanim przyznane mi zostaną meksykańskie posiadłości Rodrigandów?

— Sprzedam jedną z nich w imieniu właściciela albo, co będzie znacznie mniej kłopotliwe i prostsze, daruję Panterze Południa. Decyduję się na wszystko, gdy zniszczyliśmy wrogów.

— Ale czy naprawdę nie ma już nikogo, kto mógłby wykryć, że Alfonso nie jest prawdziwym synem hrabiego Rodrigandy?

— Nie boję się nikogo z tych, którzy pozostali przy życiu.

— A Roseta de Rodriganda, obecna pani Sternau?

— Otrzymała cały przypadający jej spadek i jest nieszkodliwa.

— A kapitan Enrique Landola, który zna tajemnicę?

— Otrzymuje od nas pieniądze i dlatego będzie milczał. Również nic nie znaczą Arbellez i Maria Hermoyes.

— A więc nie mamy się kogo obawiać. Ale gdybym mogła się zemścić na Amy Dryden, byłabym jeszcze bardziej szczęśliwa.

— Może i to się uda. Mam nadzieję, że nic nie zamyślasz, nie naradziwszy się przedtem ze mną.

Teraz wiesz o wszystkim. Muszę iść do prezydenta. Im bardziej wkupię się w jego łaski, tym mocniej będę go później trzymał w garści. Adios, moja córko!

— Adios, ojczy!

Cortejo ucałował Josefę, a ona jego. Od lat nie okazywali sobie takich czułości. Gdy odszedł, Josefa podbiegła do lustra i zaczęła się w nim przeglądać, jak gdyby sprawdzając, czy jest wystarczająco piękna na córkę prezydenta albo króla. Podczas gdy tak się mizdrzyła przed lustrem, ktoś zapukał cicho do drzwi. W drzwiach zjawiała się Metyska, która służyła obecnie u Amy Dryden.

— Ach! — Josefa uśmiechnęła się cierpko. — Nareszcie! Myślałam, że już zapomniałaś, na czyich jesteś usługach. Czy dowiedziałaś się o czymś ważnym?

— O tak, o czymś bardzo ważnym, seniorita — odpowiedziała piękna łotrzyca.

— Opowiadaj!

Dziewczyna usiadła bezceremonialnie w hamaku. — No więc? — zapytała Josefa niezbyt życzliwym tonem, porównanie bowiem swojej urody z pięknnością dziewczyny popsło jej humor.

— Mam nadzieję, że mnie seniorita dobrze wynagrodzi, przynoszę bowiem dwie niesłychanie ważne nowiny. Pedro Arbellez był dziś u nas.

— Hacjendero? — zdumiała się Josefa.

— Tak. Był również u najwyższego sędziego, który mu nawet zaproponowałaby u niego zamieszkał.

— Matko Boska! Co to znaczy?

— Niewiele. Słyszałam wszystko, byłam bowiem w pokoju miss Amy, gdy Arbellez jej o tym opowiadał. Przywiózł najwyższemu sędziemu czynsz za dzierżawę, a oprócz tego jakieś skarby, które mają być wysłane do Moguncji.

Josefa nie zdradziła się, jak silne wrażenie sprawiły na niej te słowa. Rzekła tylko:

— Ta pierwsza nowina nie bardzo mnie obchodzi. A druga?

— Jeżeli pierwsza nie bardzo panią obchodzi, wątpię, czy zainteresuje druga. Otóż w domu lorda są wielkie skarby. Przechowują tam miliony. Miss Amy mówiła o tym z hacjenderem. Chciał prosić lorda, by w jego imieniu posłał do Europy pewne kosztowności. Ale najwyższy sędzia sam się tym zajął, ponieważ w innym przypadku los ich mógłby być niepewny. Miss Amy zupełnie się z tym zgodziła. Oświadczyła, że ojciec jej trzyma w piwnicy około pięciu milionów pesos i że nie może ich wysłać w obawie przed przywłaszczeniem przez obcych. Pesos te nie należą do niego, lecz do kapitalistów angielskich, którzy pożyczili Meksykanom pieniądze. Są to częściowo procenty, częściowo zaś kapitał.

— I to mnie mało obchodzi — wycedziła Josefa, z trudem ukrywając zadowolenie. — Czy znasz tę piwnicę?

— Tak. Czasami przynoszę z niej żywność.

— Czy jest duża?

— Nawet bardzo. Z przodu mieści się piwnica kuchenna, za nią winiarnia, dalej zaś niewielkie wgłębienie, zabite mocnymi, żelaznymi drzwiami. Tam w żelaznych skrzyniach są pieniądze.

— Skąd wiesz o tym?

— Miss Amy powiedziała to hacjenderowi, aby mu uprzytomnić, jak przezornie trzeba u nas obchodzić się z pieniędzmi.

— A jeżeli ktoś się dowie o tych skarbach i wedrze się do piwnicy?

— To wykluczone. Co dzień wieczorem lord zabiera klucze od piwnic. Klucz od skrytki, w której złożone są pieniądze, nosi przy sobie i nigdy się z nim nie rozstaje. Zamyka je wszystkie razem w szafce nocnej.

— W tej sytuacji nikt istotnie nie może się dostać do pieniędzy. No, widzę przynajmniej twoją dobrą wolę. Masz tu pięć dukatów. Uważaj dalej dobrze, zwłaszcza zapamiętaj i powtórz mi dokładnie wszystko, co będzie mówione o zaginionej córce hacjendera i o niejakim Marianie lub Lautreville'u. Możesz pdejsć.

Dziewczyna zeszła z hamaka, zarzuciła swą mantę, ukloniła się i opuściła pokój. Josefa nadśłuchiwała, aż umilkły kroki, potem zaczęła klaskać w dłonie i wołać:

— Zemsta gotowa, gotowa! Oby tylko Pantera Południa prędko przybył!

Ale Pantera Południa nie przybył ani tego dnia, ani następnego. Za to trzeciego zjawił się niespodziewanie.

Josefę odwiedził znowu jej szpieg w spódnicy. Dowiedziała się, że Pedro Arbellez odjechał. Późnym dopiero wieczorem opowiedziała to ojcu. O innych sprawach jeszcze z nim nie mówiła. Nagle otworzyły się drzwi i wsunęła się przez nie jakaś postać tak bezszelestnie, jak cień. Josefa krzyknęła przerażona, nawet Cortejo zerwał się na równe nogi. Wtedy nieznajomy stanął w świetle i uspokoił ich ruchem ręki. Był ubrany w zwyczajny strój peona. Ciemne włosy, brunatna skóra i rysy twarzy wskazywały, że należy do rasy indiańskiej. Był to Juan Alvarez, okrutnik, zwany Panterą Południa.

— Ach, senior Alvarez, ależ nas pan przestraszył! — powiedziała Josefa. — Czekamy na seniora od przedwczoraj. Witaj!

Indianin obrzucił ją zimnym, zdziwionym wzrokiem i zwrócił się do Corteja:

— Przychodzę pod osłoną nocy, aby nie mieć świadków. A pan mi daje kobietę za świadka!

— To moja córka — usprawiedliwiał się Cortejo.

— Czy córka nie jest kobietą? — zapytał ostro. Josefa podeszła do Indianina i rzekła z pewnością siebie:

— Czy sądzi pan, że się lękam Pantery Południa? Czy to moja wina, że jestem kobietą? Czy wśród mężczyzn nie ma bab? Dlaczego więc wśród kobiet nie miałyby być mężów? Ojciec mój dzieli się ze mną wszystkim i nigdy jeszcze tego nie żałował. Przekona się i senior, że jestem godna pańskiego zaufania i że umiem postępować jak mężczyzna.

Na wąskie usta Indianina wystąpił ironiczny uśmiech. Odpowiedział:

— Mówi jak mężczyzna, senior Cortejo. Jeżeli nie postępuje po męsku, to już pańska sprawa. Pantera Południa zdradza swe tajemnice tylko tym ludziom, którym zdradzać ma ochotę. Przejdźmy jednak do sprawy.

— Proszę usiąść — zapraszał Cortejo, podsuwając Indianinowi krzesło.

— Nie — odmówił. Założył ręce na piersi, obrzucił Cortejów wzrokiem pełnym zadumy i ciągnął dalej: — Będę mówił stojąc. Ponieważ znalazłem się w towarzystwie świadka, o którego obecności nie uprzedzono mnie, spytam tylko: czy są pieniądze?

— Nie w gotówce.

— W takim razie nie ma o czym mówić. Odwrócił się i miał zamiar odejść. Cortejo starał się go zatrzymać.

— Niech senior zostanie jeszcze chwilę i posłucha, co powiem. Mówiłem, że nie mam pieniędzy w gotówce, któż bowiem może dziś położyć na stół cały milion? Ale mam posiadłości, a każda z nich warta miliony. Gdy sprzedam jedną, otrzymam pieniądze. Czy podarować panu którąś z nich, czy też udamy, że została przez seniora kupiona? A może...

Indianin słuchał niby od niechcenia. Ale teraz przerwał Cortejowi:

— Czy ma pan prawo do sprzedaży lub też darowania tych posiadłości?

— Mam.

— Czy jest pan wyłącznym ich właścicielem?

— Nie, ale hrabia de Rodriganda dał mi pełnomocnictwa. Mogę podpisywać akty w jego imieniu.

— To pańska sprawa. Nie wierzę wam. Nie zamierzam też niczego kupować. Żegnam!

Odwrócił się znowu. Tym razem zatrzymała go Josefa.

— Zaczekaj, senior. Załatwię tę sprawę.

Indianin uśmiechnął się ironicznie i rzekł niecierpliwie:

— Po co trwonić słowa? Interesują mnie tylko pieniądze.

— Będzie je pan miał.

— Kiedy?

— W każdej chwili, choćby zaraz.

— Milion?

— Nie, pięć milionów! Zdumiony cofnął się o kilka kroków.

— Seniorita nie jest chyba przy zdrowych zmysłach!

— wykrzyknął.

Cortejo był również oszołomiony. Josefa nie dała się jednak zbić z tropu.

— Powiem krótko. Ojciec mój przyrzekł milion, prawda? Daję o cztery miliony więcej i stawiam dwa warunki: musi senior sam Wynieść te pieniądze z miejsca, gdzie są schowane, oraz przyrzec, że dotrzyma obietnicy danej memu ojcu.

— Gdzie one są? — zapytał szybko Alvarez.

— Powiem wtedy, gdy przyjmie pan moje warunki i jeśli porozumiemy się w jednej jeszcze kwestii.

— Słucham.

Indianin stanął przed obojgiem ze złożonymi na piersi rękoma i wpił wzrok w Josefę.

— Są na świecie dwie osoby — mówiła dalej — na których muszę się zemścić. Powinny umrzeć albo przynajmniej zniknąć w górach, w których senior jest władcą. Ta para to ojciec i córka. Mają w swoim domu pięć milionów gotówką i mieszkają tu, w Meksyku. Znam skrytkę, w której przechowują pieniądze, wiem również, w jaki sposób można się tam dostać. Jeśli uda się panu uprowadzić tę parę oraz — korzystając z moich informacji

— zdobyć miliony, wtedy musi pan dotrzymać słowa danego wcześniej memu ojcu.

— Do diabła! Teraz rozumiem, o kim mowa! — zawołał Cortejo. — Wiesz dokładnie, Josefo, że ta olbrzymia suma tam się znajduje?

— Oczywiście. Przecież znasz mojego szpiega. Indianin położył rękę na ramieniu Josefy i rzekł zniżając głos:

— Seniorita, Pantera Południa nie da się wywieść w pole, zwłaszcza kobiecie. Jeżeli pani kłamie, zamorduję was.

— Nie boję się — patrzyła prosto w jego oczy rozpalone żądzą złota. — Jestem pewna swego.

— W takim razie nie stoi przede mną kobieta, ale mężczyzna. Kto zemstę ceni wyżej niż pięć milionów pesos, temu można ufać. Zgadzam się na propozycję i przyjmuję warunki.

Blade policzki Josefy nabrały rumieńców.

— Na pewno pan zamorduje ojca i córkę? Pokwituje memu ojcu odbiór miliona? — upewniała się,

— Tak.

— Pomoże mu zdobyć godność prezydenta?

— Tak.

— Niech senior przysięgnie!

Wyciągnął obie ręce i rzekł donośnym głosem:

— Przysięgam, że dotrzymam słowa, jeżeli powiedziano mi prawdę. A teraz wymień miejsce, seniorita.

— Czy zna pan Anglika, lorda Drydena? Indianin gwizdnął przez zęby.

— A więc to u niego?

— Tak. Zaskoczyło to pana? Czy się senior wycofuje?

— Nie. Słucham dalej.

— Piwnica ma trzy części. Z przodu mieści się spiżarnia, za nią skład z trunkami i wreszcie ta część, w której ukryto złoto. Jest niewielka, zamykają ją żelazne drzwi. Stoją tam skrzynie, również żelazne. W nich znajdzie pan miliony. Wszystkie klucze leżą w skrytce nocnej szafki, która stoi w sypialni Drydena. Oto wszystko, co mam do powiedzenia.

— To wystarczy — powiedział Indianin. — Niech pani jutro wieczorem czeka tu na mnie.

— Mam czekać? Na pana?

— Tak. Jutro w nocy zabiorę pieniądze. Pani pójdzie tam ze mną.

— Ja? Dlaczego? — zapytała przerażona. — Co mam robić?

— Nic. I nikt pani nie zobaczy w domu Anglika. Jeżeli znajdzie pieniądze w piwnicy, odprowadzę senioritę do domu i dotrzymam słowa, jeżeli zaś wszystko okaże się kłamstwem, następnego ranka powieszę panią na drzwiach piwnicy.

— O Dios! A jeżeli przekona się pan, że pieniądze są, ale nie będzie ich mógł wydostać?

— Wtedy też nie będzie pani ponosić winy. Dotrzymam słowa. Widzi pani, że stawiam sprawę uczciwie. Jeżeli jutro wieczorem nie zastanę tu pani, zginie za panią ojciec.

Nie czekając na odpowiedź, Pantera Południa odszedł, pozostawiwszy ojca i córkę w niewesołym nastroju. Woleli nie myśleć, co będzie, jeżeli szpieg się pomylił.

Indianin cicho jak kot dostał się na podwórze i przeskoczył przez mur na ulicę. Po godzinie przystanął na brzegu kanału otoczonego drzewami. Wśród nich dojrzeć można było wiele ciemnych postaci.

Jedna z nich podniosła się na odgłos jego kroków.

— Czy to ty, ojczy?

— Tak, Diego, to ja — potwierdził. — Wstawajcie, wracamy.

Wszyscy podnieśli się z ziemi, sprowadzono konie. Niebawem cały oddział był już w drodze. Pantera Południa jechał na czele ze swym synem, reszta podążała kilka kroków za nimi, jak wymagał szacunek dla wodza. Konie szły pewnie, choć noc była ciemna. Zdawało się, że doskonale znają drogę. Mijali okolicę pogrążoną w głębokim śnie. Długi czas Pantera Południa milczał. Wreszcie zapytał syna:

— Czy pamiętasz, jak w roku 1855 wypędziliśmy z Meksyku prezydenta Santa Anna?

Młody człowiek skinął głową na znak, że sobie przypomina.

— Doszło do strasznej walki ulicznej, w której nasz mały oddział omal nie został rozbity.

— Tak. Otrzymałem cios w piersi, uderzenie w głowę i zwałem się na ziemię. Kiedy się obudziłem, leżałem w łóżku w pięknym pokoju — przypominał Diego.

— W domu lorda Drydena. Z pewnością byłbym cię wtedy utracił, każda bowiem twoja rana była nieomal śmiertelna. Ale pielęgnowano cię jak syna i uratowano. Przysięgliśmy sobie wtedy odwdziżyć się im kiedyś.

— Dotychczas nie było okazji.

— Ale będzie jutro. Mam zrabować z domu Anglika pieniądze, a jego i córkę zabić. Przekona

się, że Pantera Południa nie zapomina o dobrodziejstwie, którego zaznał. Pieniądze zabiorę, nie zabiję jednak ani ojca, ani córki, tylko wyślę ich jako jeńców w dalekie góry Chiapas. Nie powinni nas widzieć, nie powinni wiedzieć, kto ich okradł. Dlatego Drydenów uprowadzi ktoś inny. Stamtąd nie będą mogli uciec, dopóki sam ich nie uwolnię.

— Ile jest tych pieniędzy?

— Pięć milionów pesos.

Syn nie odpowiedział. Suma ta była dla niego tak wielka, że zdobycie jej nie mieściło mu się w głowie. Równie nieprawdopodobne wydało mu się postępowanie ojca.

Następnego wieczora lord Dryden udał się na spoczynek później niż zwykle. Sporządziwszy jakiś szczegółowy raport dla swych władz, długo rozmawiał z Amy o niedawnej wizycie starego dzierżawcy oraz o zaginionych przyjaciółach. Amy była pogrążona w smutku, lord również psychicznie nie czuł się dobrze. Męczyło go nerwowe tempo życia w Meksyku, marzył o powrocie, o chwili, kiedy wydostanie się z tego niespokojnego kraju. Wreszcie ojciec i córka poszli do swych sypialni. Ponieważ służba już spała, lord sam zapalił lampę, następnie otworzył szafkę nocną i nacisnął ukrytą sprężynę, natychmiast wyskoczyła szuflada. Włożył do niej pęk kluczy i zasunął ją takim samym naciśnięciem sprężyny. Rozebrał się, zgasił światło i położył się do łóżka. Po chwili jego oddech wskazywał, że zasnął.

— Czy zauważyłeś sprężynę? — dało się nagle słyszeć spod łóżka.

— Znajdę ją w ciemnościach.

— Wyłączmy więc!

Dwaj mężczyźni cicho jak duchy stanęli przy kotarze. Jeden wyciągnął z kieszeni chustkę, pokropił ją jakimś płynem z flaszeczki, odsunął kotarę i podszedł do śpiącego. Podsunął mu chustkę pod usta i nos, potem zaś zakrył nią całą jego twarz.

— Gotów — rzekł półgłosem. — Daj maskę!

— Czy zapalić światło?

— Tak, ale najpierw spuść firanki.

Zapalili lampę. Na twarz lorda nałożyli czarną maskę z otworami na oczy i usta i podwiązali ją pod brodą. Po czym podnieśli go z łóżka, ubrali i na wszelki wypadek wpakowali mu knebel w usta.

W tym czasie Amy, siedząc w swojej sypialni tyłem do drzwi, przerzucała album z fotografiami. Oglądając ukochane osoby, przypominała sobie czas, w których je po raz pierwszy ujrzała na zamku Rodrigandów, a potem pokochała. Była tak zatopiona we wspomnieniach, że nie usłyszała cichego szmeru, który rozległ się obok niej. Nie zauważyła również, że drzwi się otworzyły i do pokoju weszli dwaj ludzie, ci sami, którzy przed chwilą uwijali się po sypialni lorda.

Obaj dawali sobie znaki. Starszy wyciągnął chustkę do nosa i zwilżył kilkoma kroplami płynu z flaszeczki. Na palcach zbliżyli się do Amy. Jeden chwycił ją za gardło, drugi położył chustkę na usta i nos. Po chwili siedziała w krześle bez czucia. — Jaka piękna! — szepnął młodszy.

— Nie sprawiamy jej bólu — rzekł drugi. — Uratowała syna Pantery Południa.

Zaczął przerzucać kartki albumu. Po chwili rzekł:

— Widać kocha tych, których fotografie są tutaj. Może zabierzmy ten album dla niej?

— A Pantera Południa nie będzie się gniewał?

— Czy musi o tym wiedzieć?

— Weź album.

Starszy mężczyzna wyszedł z pokoju, a po chwili wrócił z kilkoma Indianami. Zgasili światło w obu sypialniach, wzięli ojca i córkę na ręce i wynieśli przez sień na schody. Otworzyli tylne drzwi prowadzące na podwórze. Wyrosła teraz przed nimi ciemna postać. Był to Pantera Południa.

— Nareszcie! — powiedział. — Za długo się guzdrzecie. Czy ci oboją żyją?

— Żyją.

— Macie klucze?

— Oto one.

— Czy wiecie, gdzie szukać drzwi do piwnicy?

— Tuż obok schodów.

— Przyślijcie mi tutaj pozostałych ludzi! Czekają w rogu podwórza. A tych dwoje wsadźcie na konia i wywieźcie za miasto. Uważajcie tylko! Gdyby was ktoś ujrzał lub schwytał, jesteście zgubieni.

Indianie niosący jeńców odeszli. Po chwili do Alvareza podeszło około trzydziestu mężczyzn. Wszyscy weszli do mieszkania i zaryglowali za sobą drzwi od wewnątrz, aby nikt nie mógł im przeszkodzić.

Pantera Południa szybko znalazł miejsce, którego szukał. Namacawszy w żelaznej płycie drzwi otwór, dobrał odpowiedni klucz, bez hałasu obrócił go w zamku i rzekł cicho:

— Wejście do piwnicy otwarte. Chodźcie za mną po schodach. Niech dwaj ostatni zostaną na najwyższym stopniu jako warta. Światło zapalimy dopiero na dole, w spiżarni.

Tak też zrobili. W blasku kilku małych latarek od biedy można było się rozejrzeć. Na prawej ścianie widniały drzwi. Pantera zbadał zamek i znów dopasował klucz. Znaleźli się teraz w zasobnej piwniczce; stały tu rzędem beczki napełnione winem. Ujrzeli między nimi żelazne drzwiczki. Z otwarciem ich miał Alvarez trudności; wprawdzie klucz wszedł gładko w zamek, ale ten nie puszczał. Pantera Południa, zmęczony, przerwał robotę i odszedł kilka kroków, by odpocząć. W tym momencie drzwi się otworzyły i padły dwa strzały. Dwaj Indianie runęli na ziemię, reszta cofnęła się w popłochu. Jedyne Alvarez nie stracił zimnej krwi. Schylił się nad postrzelonymi.

— Nie żyją — powiedział. — Ze też nie przewidziałem automatycznych strzałów.

Oświecając piwnicę latarką, uspokajał ludzi:

— Nikt nie usłyszał na górze tych strzałów. Przygotowano je dla obrony, a nie po to, by budziły mieszkańców domu. Zresztą, mamy wartowników i broń do dyspozycji. Wejdzmy więc do środka!

Mała piwniczka nie mogła pomieścić wszystkich. Ci, którzy do niej weszli, zobaczyli sześć czarnych żelaznych skrzyń. Nikt nie wiedział, co zawierają. Wódz nie uznał za potrzebne wtajemniczać swych ludzi, że są w nich miliony.

— Bierzcie skrzynie! — rozkazał.

Do podniesienia każdej trzeba było czterech chłopów na schwał.

— No, jazda, zanieść na podwórze.

Gdy ludzie wynosili skrzynie, Pantera Południa oświetlał drogę latarką.

— Czy słyszeliście strzały? — zapytał wartowników.

— Strzały? To były jakieś głuche uderzenia.

— Czy zauważyliście coś podejrzanego?

— Nie.

— Zgaście latarki i zostawcie tutaj.

Swoją oświetlił korytarz. Gdy stwierdził, że wszystko w porządku, otworzył drzwi prowadzące na podwórze i wtedy dopiero zgasił światło. Indianie podążyli za nim, uginając się pod ciężarem. Doszedł do muru. Przy bloku kamiennym, z którego kilka mocnych desek przerzucono na szczyt muru, stało dwóch Indian.

— Co z wozem? — spytał ich.

— Już czeka.

— Czy było słyhać, jak nadjeżdżał?

— Nie, przecież owinęliśmy szmatami kopyta i koła. Tylko konie parskały trochę.

— No to uwińcie się szybko!

Po drugiej stronie muru stał wóz zaprzęgnięty w cztery konie. Ładowano skrzynie. Wszystko odbywało się błyskawicznie, choć nie można było uniknąć przy tym hałasu. Pantera Południa nie obawiał się jednak, iż ktoś z domowników mógłby im przeszkodzić. Kiedy już umieszczono skrzynie na wozie, Alvarez dał znak do odjazdu. Jeden z jego ludzi odważył się zapytać:

— Czy nie zabierzemy ciał naszych towarzyszy?

— Nie — odparł ostro. — Pozostaną tutaj tak jak latarki i deski. Nie chcę, by podejrzewano Anglika, że sam uciekł ze skrzyniami. A więc naprzód! Musimy jak najprędzej opuścić miasto. W razie czego strzelać bez pardonu!

Wóz ruszył, Alvarez pozostał jeszcze chwilę pod murem. Wyciągnął z kieszeni jakąś kartkę, rzucił ją na dziedziniec i przedostał się na ulicę. W ciemnym zaułku spotkał dwóch mężczyzn i kobietę.

— Sprowadźcie mi konia — rozkazał mężczyznom. Oddalili się pospiesznie. Alvarez poczekawszy, aż ucichły ich kroki, rzekł:

— No cóż, seniorita, nudziła się pani?

— Strasznie. Byłam tu najzupełniej niepotrzebna.

— Ależ przeciwnie, nawet bardzo potrzebna.

— Czy się udało?

— Dotychczas tak.

— Czy macie wszystkie skrzynie?

— Wszystkie.

— A więc dotrzyma pan słowa?

— Nie złamię, oczywiście, jeżeli w skrzyniach jest pięć milionów.

Josefa uświadomiła sobie, niestety za późno, że Metyska nie mówiła o pełnych pięciu milionach, ale o sumie zbliżonej do tej wysokości. Powiedziała więc:

— Ale gdyby trochę brakowało...

— Czy chciałaby pani, abym także trochę nie dotrzymał słowa? — przerwał Alvarez. — Nie mogę rozłożyć swego słowa na części. Będę się więc uważał za zwolnionego od przyrzeczenia, gdyby zabrakło choć jednego peso.

— To byłoby ohydne! — zawołała Josefa zapominając, że ktoś niepowołany może ją usłyszeć i co gorsza rozpoznać. — Zmusiłby mnie pan wtedy do wyjawienia, kto zabrał skrzynie.

Alvarez uśmiechnął się i rzekł lodowatym tonem:

— Niech pani nie grozi. Przecież doskonale pani wie, że nie pozostanę dłużny. Wszyscy się dowiedzą, kto te skrzynie wyszpiegował, kto mi o nich powiedział i kto tu stał na straży. Oto i mój koń. Do widzenia, seniorita! Zawiadomię was, ile pieniędzy znalazłem, policzę je co do jednego.

Dosiadł konia i odjechał. Josefa musiała sama wrócić do domu. Miała przeczucie, że miliony, które postawiła na jedną kartę, nic jej nie przyniosą.

Następnego ranka cały Meksyk był poruszony wiadomością o niesłychanym rabunku. Ludzie nie mogli pojąć, w jaki sposób go dokonano, mimo że ślady były przecież wyraźne. Znalaziono aparat do automatycznych strzałów, dwa ciała, latarki, deski oraz kartkę, na której ktoś napisał:

Taki los powinien spotkać obcych, którzy przybywają do Meksyku pod pozorem spełnienia misji, a w istocie gromadzą bogactwa, aby ogołocić z nich kraj.

Jeden z tych, którym zemsta zawsze się udaje.

Wszystkie poszukiwania na nic się zdały. I pieniądze, i lord Dryden, i jego córka zniknęli, jakby się rozplynęli w powietrzu. Pozostały tylko w biurku lorda jego notatki. Według nich w piwnicy była suma czterech i pół miliona pesos w złocie i papierach wartościowych. Gdy się o tym dowiedzieli Pablo Cortejo i Josefa, ogarnęła ich bezgraniczna wściekłość. Umowę z Alvarezem musieli uznać za zerwaną. Rozczarowanie ich wzmoгло się jeszcze, gdy w kilka dni po napadzie ktoś im przysłał wycinek z gazety, omawiający rabunek i wysokość zrabowanej sumy. Na wycinku tym widniał dopisek:

Jesteśmy kwita. Pomyślcie nad tym, czy się pan w ogóle nadaje na prezydenta i czy seniorka Josefa byłaby godną córką najwyższego dostojnika kraju.

Tak samo jak zaginął lord i Amy, przepadł list, napisany przez Angielkę w imieniu Pedra Arbelleza do syna kapitana Ungera, oraz wartościowa przesyłka, do której był dołączony. Najwyższy sędzia wyekspediował ją, zachowując wszystkie środki ostrożności, a ponieważ nie było reklamacji — adresat nie miał przecież pojęcia, iż wysłano doń cokolwiek — Juarez był przekonany, że paczka dostała się we właściwe ręce.

Roseta Sternau powiła przed laty córeczkę ku ogólnej radości wszystkich mieszkańców zamku Reinswalden. Przed porodem kobiety Okazywały wszelką pomoc pięknej położnicy, mężczyźni zaś pomrukiwali:

— Psiakość, żeby to był chłopak!

Kapitan Rodenstein siedział w swym gabinecie i coś liczył bez końca. Wreszcie zauważył, że zamiast dodawać odejmuje, a zamiast mnożyć dzieli. Gdy poprawił ten błąd, tak z kolei poplątał zające, psy, morgi, jelenie, jodły, cietrzewie, że w końcu odrzucił pióro i na pół gniewynie, na pół żartobliwie zawołał:

— Do kroćset fur beczek! Człowiek traci głowę, gdy ma przyjść na świat nowy człowiek! W dodatku nie wiadomo, czy to będzie chłopak czy dziewczyna! Chwała Bogu, że się nie ożeniłem. Gdybym miał dwanaścioro lub szesnaścioro dzieci, z pyszna miałyby się moje rachunczki! Pomieszałbym wszystko: dęby, korki, jamniki, konie... Wszystko!

Gdy to mówił, otworzyły się drzwi i wszedł Ludwik. Stanąwszy na bacność, czekał, aż pan się do niego odezwie.

— Czego chcesz? — burknął nadleśniczy.

— Z przeproszeniem pana kapitana, chciałbym zapytać: właściwie co?

— Jakie co? Mów jaśniej, do diabła!

— Jak to jaśniej? Co, co do diabła? Co to będzie? Chłopiec czy dziewczyna?

— Czyś postradał zmysły?

— Wedle rozkazu, panie kapitanie! Pod drzwiami stoją muzykanci i czekają. Jeżeli będzie chłopak, zagrają piosenkę męską, jeżeli dziewczynka — panięską.

Nadleśniczy wrzasnął:

— Łotrze, człowieku bez czci i wiary! Czy mam cię wyrzucić razem z twoją orkiestrą? Czy to uchodzi rznąć nad uchem słabej położnicy? Spróbuj no ty się położyć i powić dziecko, a nie wiem, czy będziesz zachwycony, gdy ci kto koncert urządzi! To niesłychane! Mam wrażenie...

W tym momencie drzwi się otworzyły i stanął w nich zadyszany Alimpo.

— Dziewczyna, panie kapitanie! — zameldował.

— Dziewczyna? Naprawdę?

— Tak. Moja Elvira mówi to samo.

— Hura! Zdrowa, co?

— Jak ryba!

— Wiwat, hura, hura! Biegnij, Alimpo, opowiedz wszystkim, że to dziewczyna, dziewczyna! No, nygusy, czegoż to stoicie z rozdziawionymi gębami? Każdy dostanie dziś ode mnie porządną porcję piwa. Niech panna Sternau upiecze zaraz placek ze śliwkami, a Henryk niech idzie do księdza i zakrystiana!

Tymczasem młoda matka leżała w łóżku i przypatrywała się swemu śpiącemu dziecku. Obok siedziała pani Sternau, matka jej męża.

— Jak się czujesz, Roseto? — szepnęła zatroskana.

— Jestem osłabiona, ale szczęśliwa. Daj mi jego fotografię!

Wskazała na ścianę, na której wisiała fotografia męża. Pani Sternau zdjęła ją i położyła na łóżku obok dziecka. Roseta przyjrzała się dziecku i fotografii.

— Czy podobna do niego? — zapytała cicho.

— Bardzo — odparła teściowa, nie chcąc sprawić przykrości synowej, choć trudno było w noworodku dopatrzeć się podobieństwa do kogokolwiek.

— Ach, gdyby mój dobry Carlos wiedział o tym!

Z oczu Rosety popłynęły łzy. Zaczęła modlić się za tego, który był nie wiadomo gdzie. Błądziła wzrokiem od dziecka do fotografii, wreszcie zmęczona zasnęła.

Po kilku tygodniach dziewczynka została ochrzczona. Rodzicami chrzestnymi byli hrabia Manuel, pani Sternau i kapitan Rodenstein. Otrzymała imię matki, zdrobniale nazywano ją Różyczką.

Mieszkańcy zamku żyliby szczęśliwie i spokojnie, gdyby nie tęsknota za bliskimi. Przeszedł rok, przeszedł drugi, a o nich zaginął wszelki śluch. Roseta uważała się już za wdowę. Gdyby nie Różyczka, nie przeżyłaby straty męża. Całą miłość i czułość przelała na córkę i starego ojca, który powoli wracał do zdrowia.

Upłynęły trzy lata od narodzin dziecka. Roseta spacerowała z ojcem po lesie. Był piękny letni dzień. Przechadzając się, myśleli o zaginionych i o dawno minionych czasach. Nagle coś poruszyło się w zaroślach. Podeszli bliżej i zobaczyli dziewczynkę. Miała na główce wieniec z jedliny, a bioderka również przepasane zielonymi gałązkami. Klęczał przed nią dwunastoletni Kurt.

— W co się bawicie? — zaciekawiła się Roseta.

— Różyczka mieszka przecież w lesie, więc ją ubrałem w to, co las może dać.

Hrabia pochylił się i ucałował małą serdecznie.

Przygotowano na podstawie bookini.pl